Tygodnik ilustrowany

Famulus

N-12

1—8 maja 1927 r.

30 gr

Opłata pocztowa ryczałtem 1—8 maja 1927 r. Cena 30 gr.

Tygodnik Ilustrowany
FAMULUS

W każdej rodzinie polskiej był swój „famulus“, który opowiadał serdecznie różne historje o życiu i jego wydarzeniach.

Fr. Morawski.

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 12



* * *

A JEŚLI MA POLSKA BYĆ,
NIECHAJ BĘDZIE, JAK PRZYSTAŁO,
JEDNA DUSZA, JEDNO CIAŁO,
JEDNA NARODOWA WIĆ —
POZNAŃ, KRAKÓW I WARSZAWA,
WSPÓLNA CHWAŁA, WSPÓLNA SŁAWA!

JEDEN NIECHAJ BĘDZIE DECH,
WOLNY I PO ZIEMI CAŁEJ,
TAK JAK OJCE ODDYCHAŁY,
KIEDY JEDNO BYŁO W TRZECH —
POZNAŃ, KRAKÓW I WARSZAWA,
WSPÓLNA CHWAŁA, WSPÓLNA SŁAWA!

NIECH NIE WZLATA ORZEŁ BIAŁY
Z ŁASKI, CO NA KONIU PSTRYM,
DLA NAS POLSKA TO NIE DYM,
BY NIĄ BYLE WICHRY CHWIAŁY —
POZNAŃ, KRAKÓW I WARSZAWA,
WSPÓLNA CHWAŁA, WSPÓLNA SŁAWA!

NIECH NASZ SREBRNOPIÓRY PTAK
POPRZEZ CIEMNYCH CHMUR NAWAŁY
GÓRNIE POMKNIE W WIELKI SZLAK
NA SŁONECZNY LOT WSPANIAŁY —
POZNAŃ, KRAKÓW I WARSZAWA,
WSPÓLNA CHWAŁA, WSPÓLNA SŁAWA!

Remigjusz Kwiatkowski



U góry widzimy herby naszych stolic: Poznania, Krakowa i Warszawy; u dołu: ratusz poznański, krakowski i warszawski.

Jan Kasprowicz

Chluba i sława ziemi wielkopolskiej



Ś. p. Jan Kasprowicz przy kominku

W prastarej ziemi Wielkopolskiej rodzili się różni mężowie znakomci, których zasługi bywały ogromne, imiona sławne, sława błyszcząca, jednak największych poetów dawały Polsce inne jej ziemie.

I nawet pomawiano Wielkopolskę, twierdząc, iż potrafi dać wiele w różnych dziedzinach polskiego życia prócz skarbów kultury twórczej, która nie posiadała i nie posiada w wielkopolskiem społeczeństwie swoich wielkich przedstawicieli.

Temu twierdzeniu zadał kłam Jan Kasprowicz, chluba Polski wobec obcych i duma ziemi Wielkopolskiej.

Z kujawskiej wyrósł gleby nad starożytnem jeziorem Gopłem, skąd również wyszli pierwsi królowie nasi jeszcze za pradziejów piastowych i, jak on, przewodzić narodowi wychodzili z pod strzechy chłopskiej.

W ubogiej chacie wcale niezamożnego rolnika wśród słynnych z urodzaju niw pod Inowrocławiem stała jego kolebka prawie 70 lat temu we wsi Szymborzu, skąd potem musiał codzień mały Janek milową drogą gonić na bosaka do dalekiej szkoły. Dużo dzieci mieli rodzice do wyżywienia, ale mimo to, chcąc go lepiej wykształcić, oddawali wszystek zarobek ciężki, byle mu zapewnić naukę w gimnazjach, a ponieważ natura jego bujna z trudem mieściła się w ramach szkół pruskich, przeto przez szereg lat wędrował chłopak z jednego do drugiego zakładu, a nigdzie gładko mu nie szło i ciężkie miewał wszędzie przejścia z profesorami, ku zmartwieniu matki i ojca.

Uczył się w Inowrocławiu, Opolu i Raciborzu, aż wreszcie spóźnioną maturę zdał w Poznaniu w gimnazjum św. Marji Magdaleny. Studja wyższe odbywał również w uniwersytetach niemieckich, trochę w Lipsku, a przeważnie we Wrocławiu, oddając się i naukom społecznym i filozofji, ale już najwięcej poświęcając się literaturze, do której coraz bardziej nabierał zamiłowania. Od szkolnej ławy bowiem począwszy, sam pisywał.

Ten polski chłop z nad Gopła, potomek najstarszego w dziejach naszych szczepu i najczystszej rasy aryjskiej, przetrawiwszy w sobie owoce najwyższej kultury zachodniej, wziął w swoją pierś wszystkie tęsknoty rodu ludzkiego, wszystek ból syna ziemi wchłonął w serce swoje, wszechmiłością świat ogarniające — i kiedy się już w nim przebrała miara myśli i uczuć, wybuchnął, jak żywioł rozhukany, niczem nie dający się okiełznąć.

To były te jego „Hymny“. w których poeta domagał się od Boga innej dla człowieka doli, niż ta, co się stała naszym udziałem pod brzemieniem grzechu. Zamienił się Kasprowicz w olbrzymie organy, które huczą rozpacznie głosem całej ludzkości „Święty Boże!“ i „Salve Regina“, łzami wieczystej tęsknoty polskiej płaczą „Pieśnią wieczorną“, zawodzą męką Golgoty „Na wzgórzu śmierci“...

Schyłek życia przeżył na Podhalu u stóp Tatr, które nad wszelkie krajobrazy umiłował, i gdzie, chorobą zwalony. jeszcze tworzył jakgdyby u przeciwnego, niż „Hymny“, bieguna lotów swego ducha — poezje dziwnej prostoty gęśliczkowego grania („Księga ubogich“ i „Mój świat“), w których widzimy, jak się poeta, całkiem już ukojony z Bogiem ostatecznie pogodził, zrozumiawszy w pokorze chrześcijańskiej cel ludzkiego życia na ziemi wobec wiecznego trwania jego ducha.

KARTKI Z RAPTULARZA!

UKOCHANIE MAŁEJ OJCZYZNY POTĘGUJE MIŁOŚĆ DLA TEJ, CO WSPÓLNA I WIELKA...

Jakże często ci, co mają serdeczne przywiązanie do własnych dzielnic, pomawiani są o zasklepienie prowincjonalne, o partykularyzm i zaśniedziałość duchową!

Czy tak jest w istocie?

Czyż jednostka, która umiłowała swój własny kąt i dzielnicę, z której pochodzi, ma koniecznie nie sięgać wzrokiem poza mur, okalający jej domostwo, ma nie mieć serca, otwartego na wszystkie troski i bóle, jakie przeżywa cały naród, ma nie odczuwać nic, tonąc w sobkostwie i egoiźmie dzielnicowym?

Nie, nieprawda!

Często świadomie kłamią ci, co tak twierdzą, bo sami żerują na rozbudzaniu waśni i antagonizmów dzielnicowych, jak głodne kruki, budując na takim gruncie własne karjery. Nie brak nam, niestety, tych farbowanych lisów, co, tłukąc się w piersi i rozdzierając rozpaczliwie szaty na sobie, udają ojców i dobroczyńców narodu, a zezują jednocześnie w stronę szatana pychy i zysku, byle interes szedł.

Prawda, że okres długiej niewoli i rozdarcie Polski pogłębiło różnice dzielnicowe i obudziło antagonizmy, sztucznie i celowo podsycane przez wrogów, prawda, że przeklęty ten tobół jeszcze wleczemy za sobą, prawda, że tu i tam wydobędzie się z niego od czasu do czasu sycząca jadowicie żmija, ale ten, kto go otwiera i posługuje się nim dla własnych i osobistych celów, krzywdzi naród i znęca się nad jego ranami, pchając w nie swoje brudem powalane palce.

Nie, nie wstydźmy się swego przywiązania dzielnicowego! Piękne jest i krzepiące...

Niech każdy potrafi serdecznie i gorąco przywrzeć piersią do skrawka ojczystego zagonu i z bijącem sercem, jak wierny syn do matki, wołać:

— O ziemio polska, matko nasza i rodzicielko!

Kto jest zdolny do tego, ten wiele wart, kto nie czuje tego i nie rozumie, ten badylem jest na polskiej glebie.

Ukochanie własnej małej ojczyzny potęguje miłość dla Tej, co Wspólna i Wielka....

CZY ŚMIAĆ SIĘ I PODKPIWAĆ WOLNO?...

Śmiały się i podkpiwały z siebie różne ziemie Polski z dawien dawna...

Któż bo nie zna piosenek ludowych, z których jedna głosi:

— Cóżeś ty za mazur, złamany masz pazur...

A druga:

— Bochen chleba, dzban maślanki, cały posag kujawianki...

Albo jeszcze inna:

— Krakowianka jedna, miała chłopca z drewna, a dziewczynę z wosku, wszystko po krakowsku...

I wiele, wiele takich piosenek, wzajemnie żartujących i ośmieszających plemienny ambit, zna lud polski.

I cóż stanowi ich treść, ich duszę?

Może nienawiść czy antagonizm, kij pakujący do ręki?

Nie, nigdy!

Treścią ich jest żart, dowcip i humor, ten słoneczny śmiech przez łzy, który nie pozwala biczować i kamienować brata, bo to przecież swój, własny i kochany.

W taki tylko serdeczny i dobrotliwy sposób podkpiwał sobie mazur z kujawiaka, kujawiak z krakowiaka i t. d.

Ale niechno jaka wspólna bieda, niedola czy troska zajrzały w oczy, niechno jaki wróg przekroczył próg ziemi polskiej, ważąc się na jej choćby najdrobniejszą piędź!

Wnet mazurowi odrastał złamany pazur, którym darł i szarpał szeregi nieprzyjacielskie, krakowski chłopiec z drewna rycerzem się stawał, olśniewającym brawurą i odwagą, a kujawiak bochen chleba przeistaczał w głaz na wroga, którym gniótł go i miażdżył, jak gada.

Śmiano się i żartowano z siebie tylko w rodzinie.

Gdy rodzina była w niebezpieczeństwie, łączyła ją tylko wzajemna miłość, a nienawiść dla tych, którzy sięgali po jej prawa, wolność i szczęście.

Famulus.



Ogólny widok na otwierające się dnia 1 maja VI Targi Poznańskie. Fot. R. S. Ulatowski.

Z dziejów Poznania

Prastary gród Przemysława ma chlubną kartę w historji Polski

Prastary gród Przemysława w dziejach naszych zajmuje osobne zapisane dzielnemi zasługami karty. W zamierzchłych czacach był już starą osadą historyczną. W r. 968 występuje na widownię dziejową. Tu w zaraniu naszych dziejów krzesały się pierwsze iskry państwowości polskiej, jej ideologji i kultury; tu znajdowało się ówczesne serce Polski — stolica Państwa.

W wieku XIII Poznań zajmuje naczelne miejsce pośród miast polskich. Wówczas to, po nawałnicy tatarskiej, która kraj nasz cały straszliwie wyniszczyła, nie dosięgając wprawdzie Poznania, wynikła konieczność oparcia się na obcym kapitale i obcych siłach roboczych. Kolonizacja, powstała na tym gruncie i płynąca z ościennych Niemiec zmusiła do zaprowadzenia pewnych



A. hr. Bniński, wojewoda poznański
Fot. R. S. Ulatowski

obcych form ustrojowych, któreby osadnictwo to ułatwiło. Oto geneza samorządu miejskiego w Polsce, znanego pod nazwą przywileju prawa magdeburskiego (1253 r.).

Przywilej królewski ustanawiał pomiędzy innemi w Poznaniu jarmark i zwalniał mieszkańców z opłaty cła od towarów rynkowych, zarówno przy kupnie, jak i przy sprzedaży.

Następny przywilej (1280 r.) przyznaje miastu niektóre dochody, płynące z handlu i ustanawia pierwszą giełdę kupiecką.

Przywilej króla Władysława Jagiełły (1394 r.) ustanawia w Poznaniu skład wszelkich towarów w tranzytowym obrocie pomiędzy Polską, a Niemcami. Kupcy zagraniczni, przybywający do miasta musieli w przeciągu 3 dni rozsprzedać swoje towary wystawione na składzie, wskutek czego kupiec poznański



J. E. Prymas Polski ks. arcybiskup Hlond



Piękny ratusz stołecznego miasta Poznania. Rzadki okaz architektury w stylu gotyckim i włoskiego renesansu
Fot. R. S. Ulatowski

staje się niezbędnym i uprzywilejowanym pośrednikiem.

Dalsze wreszcie edykty królewskie z XV i XVI stuleci ustanawiają Poznań jako przymusowy punkt tranzytowy w obrotach z Wrocławiem, Śląskiem i Saksonją.

Dzięki tym przywilejom Poznań stał się najbogatszem miastem w Polsce, a jarmarki Świętojańskie posiadały dla Wschodniej Europy nie mniejsze znaczenie od dzisiejszych jarmarków lipskich.

Miasto dzięki szeroko rozwiniętym stosunkom handlowym, oraz zawdzięczając to swemu korzystnemu położeniu geograficznemu, a pozatem i dobrobytowi, przerzuca swój stan posiadania z pierwotnie zajmowanych terenów wzdłuż lewego pobrzeża, na prawy brzeg Warty,



M. Ratajski, prezydent st. miasta Poznania
Fot. R. S. Ulatowski

zyskując specjalne przywileje królewskie. Rozwój stosunków gospodarczych płynie wezbranym nurtem aż do połowy 17-go wieku. Stulecia następne zaciążyły na Poznaniu dotkliwie. Wojny szwedzkie doprowadziły miasto, do niedawna kwitnące, prawie na kraj ruiny. W XVIII stuleciu Poznań stał się teatrem operacyj wojennych obcych mocarstw. Miasto zajmowane przez strony wojujące, bombardowane w 1704 r. przez 3 tygodnie przez Rosjan zostało całkowicie wytrącone z równowagi i z drogi rozkwitu, po której tyle wieków

kroczyło. Długie lata przeszły, nim Poznań odzyskał siły i mógł przystąpić do realnej odbudowy.

Doświadczenie w administracji samorządowej miejskiej wysunęło Poznańczyków na pierwszy plan podczas obrad Sejmu 4=letniego, który również, jak wiadomo, dużo miejsca poświęcił w swych pracach akcji poprawy bytu miast polskich.

Konstytucja 3 maja, ustawą swą o „miastach wolnych królewskich" w znacznej mierze podźwignęła Poznań.

Wiek XIX, wysuwa znowu Poznań na miejsce zaszczytne zarówno na polu gospodarczej, kulturalnej, naukowej, jak i narodowej pracy. Powstaje wtedy szereg instytucyj gospodarczych, stowarzyszeń kulturalno=społecznych, w których działają wielce zasłużeni obywatele. W tem miejscu złotemi głoskami wypisać należy imię najdzielniejszego bodaj obywatela miasta, Karola Marcinkowskiego, którego zasługą jest powstały cały szereg pięknych i mądrych poczynań.

Dzięki szerokiemu, z każdym rokiem zwiększającemu się rozkwitowi ekonomicznemu, Poznań staje się prawdziwą skarbnicą okazałych zabytków architektury bogatych w dzieła sztuki, gdzie przeważa obok starszych zabytków gatyckich, piękny renesans włoski i barok. Kilka z tych budowli należy do najbardziej ciekawych i okazałych w kraju, jak naprzykład ratusz lub fara.

W chwili powstania państwa polskiego Poznań wysuwa się na czoło miast, dzięki wiekowym tradycjom i wysiłkom organicznie celowej akcji społecznej. Wystarczy zajrzeć do statystyki mieszkańców z roku 1861 i z roku 1926, aby przekonać się o jego faktycznym rozwoju. W r. 1861 miasto liczyło 51.232 mieszkańców, w r. 1926 cyfry te wzrosły do 216.789. Miasto Poznań przedstawia pozatem dobrze zorganizowane i prosperujące placówki komunalne, gospodarczo=handlowe, kulturalno=społeczne, naukowe itp. Charakterystycznem jest pozatem, iż liczy 96 proc. ludności rdzennie polskiej.

Pozycja gospodarcza Poznania wraz z Wielkopolską, jak wiadomo, przedstawia stosunkowo największe źródło dochodów państwowych. Poza Warszawą o naczelne stanowisko finansowe wśród miast polskich, konkurują z Poznaniem tylko Katowice, ośrodek olbrzymiego górnośląskiego przemysłu. Z pośród centrów, nie mających wyraźnego charakteru przemysłowego, Poznań wybija się bezkonkurencyjnie na czoło miast polskich.

Rozmach walorów twórczych Poznania znalazł pomiędzy innemi swój wyraz w Targach Poznańskich, które istnieją od lat siedmiu. Instytucja ta o charakterze międzynarodowym skupia uwagę Polski i zagranicy, odgrywając doniosłą rolę w naszem życiu gospodarczem. Tegoroczny VI Międzynarodowy Targ w Poznaniu od 1 do 8 maja będzie realną demonstracją naszych walorów gospodarczych, jak również dowodem współpracy gospodarczej z zagranicą, która w Polsce coraz więcej gruntuje sobie podstawy rozwoju.

Na tegoroczny Targ zjadą się ze wszystkich stron Polski i zagranicy przedstawiciele sfer gospodarczo-handlowych i czynników, bezpośrednio zainteresowanych stabilizacją stosunków gospodarczych w Polsce.

Podkreślić należy z uznaniem, iż dzięki światłej i sprężystej organizacji Targi Poznańskie stanęły na poziomie, równym największym światowym imprezom tego rodzaju, zajmując w Europie Wschodniej czołowe miejsce po Lipsku.

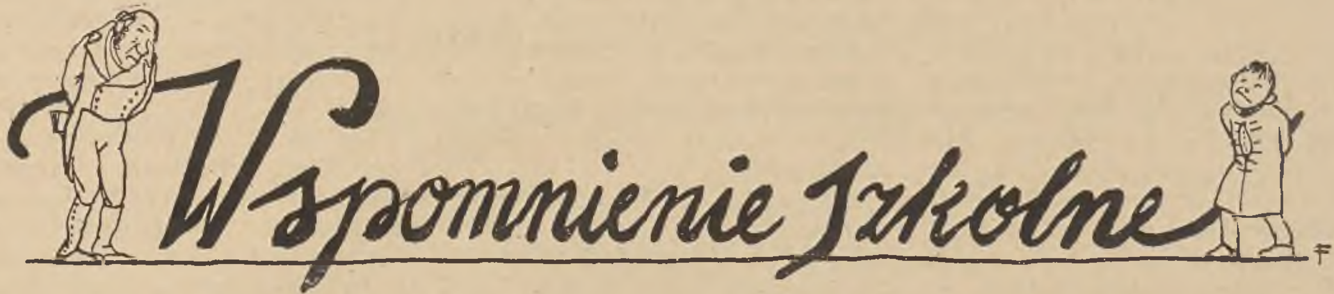


Kościół św. Wojciecha w Poznaniu posiada bezcenny skarb sztuki polskiej w postaci ołtarza Wita Stwosza

Ze zbiorów polskiego Tow. Krajoznawczego.

AUGUST WILKOŃSKI

Wspomnienie szkolne



W numerze, poświęconym Wielkopolsce, trudno nie przypomnieć jednej z najpopularniejszych swego czasu postaci w literaturze, Augusta Wilkońskiego, i jego znakomitych ramotek.

August Wilkoński urodził się w Kąkolewie, w pobliżu Leszna, w Wielkopolsce, w roku 1805. Ukończywszy gimnazjum w Poznaniu, udał się na uniwersytet do Wrocławia, gdzie przebył od roku 1826 do roku 1828. Wyzwawszy za obrazę przyjaciela swego na pojedynek oficera niemieckiego, zranił go ciężko, za co wyrokiem sądowym skazany został na 12 lat twierdzy. W czasie odsiadywania kary poznał Paulinę Lauczównę, sierotę po naddzierżawcy dóbr rządowych, a uzyskawszy krótki urlop od króla pruskiego, na czas wesela, ożenił się z nią, i oboje zamieszkali w twierdzy. Wkrótce potem otrzymał ułaskawienie, przeniósł się do Kongresówki i oddał się rolnictwu, ale doznawszy w niem zawodu, od roku 1840 stale zamieszkał w Warszawie i poświęcił się pracom literackim.

W pierwszym tomie założonej wówczas „Bibljoteki Warszawskiej“ z roku 1841 pomieścił swoją pierwszą „ramotkę“, która odrazu zdobyła mu wielkie wzięcie i popularność.

Ramotkę tę, tryskającą dowcipem, a jednocześnie zawierającą w swej treści kartę z dziejów niedawnej przeszłości, przypominamy naszym Czytelnikom.

— Co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole.

Nie wiem, czy dzieci i teraz podobnej trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa w wielkiem mieliśmy poszanowaniu owe głębokiej myśli wyrazy, i, zaprawdę, tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem, przed dwudziestu laty za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawił.

Byłem dopiero w klasie trzeciej, oddziale pierwszym, gdy przybył z Getyngi (nie pamiętam, czy doktór filozofji, czy nie doktór — mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi profesorami) pan Berendt i objął katedrę literatury niemieckiej w gimnazjum poznańskiem. Mąż ten, pełen nauki i nieco zgarbionej postaci, nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru, a u kamaszy, sięgających po kolana, było na każdej nodze 7 dużych stalowych guzików — mówię wyraźnie siedem, bom je nieraz rachował, przemyśliwując, jakimby to sposobem kilka oberżnąć. Zdawało mi się, że taka sprawka mogłaby sławę moją figlarną na zawsze utrwalić:

„O! ty, co bujasz wesoło po jasnej niebios przestrzeni,
A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni,
Serce cię moje chwytało,
Wysoka chwało!“

Co za triumf!... Gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć! Już nawet skradałem się raz ku katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha profesor, i znikła wielkiego czynu sposobność.

Lecz wracam do głównego mej opowieści celu:

Siódmego stycznia, nazajutrz po Trzech Królach, przybiegłem rychło do zakrystji, pragnąc służyć do mszy studenckiej, a lubo nie bardzom dobrze w *ministranturze* odpowiadał, i tylko końcówki: „*per Dominum Deum nostrum*“ — „*sanctae*“ głośno wymawiałem, jednakże natomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem.

Patrzę — a tu już pięciu kandydatów do tego zaszczytu kłóci się o pierwszeństwo. Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej biedzie.

— Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargoce? „*die erste Abtheilung der deutschen Litteratur — ruhig — ruhig* — i zawsze *ruhig* — zupełnie, jakgdyby kto szczotką po uszach drapał.

— Mój Boże! ksiądz Przybylski, jak krzyknął „hajdamaku!“ na całą godzinę było cicho, i chociaż często dał żelaznych karmelków *), milej przecież bywało.

— Wiesz co, Kaulfuss to wcale dobrze uczy.

— Ale jaki on też uczony! Kaulfuss i Cassius należą podobno do najlepszych filologów.

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy. Wiesz, ja Buchowskiego tak kocham, jak mego własnego ojca.

— Lecz kto z was Berendta zrozumie?... zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mówił: „pierwszy oddział literatury niemieckiej poczyna się...

— Ej, gadasz, on nas pierwej powinien nauczyć gramatyki, wokabuł, a potem dopiero rozprawiać o literaturze. Słuchaj, Auguście! zróbmy mu dzisiaj figla; jak on zacznie „*ruhig*“, to my się odezwijmy „*Stille*“, tylko tak, aby żadnego nie spostrzegł, i możnaby wywoskować ławki i puścić piszczonego: ty wiesz?...

*) Był to przez rektora szkół poznańskich, księdza Przybylskiego, wymierzany rodzaj kary osobliwszej. W klasie czy na ulicy, kiedy chłopca na gorącym swawoli pochwycił uczynku, zwykł mawiać: „dostałem świeże Leslowskie z Warszawy karmelki“ i serdecznie kluczem, który zawsze przy sobie nosił, nastukał się po palcach chłopczyka. Bolało to, pamiętam, bardzo. Panie, świeć nad jego poczciwą duszą, miał on ksiądz nader groźną minę — marszcząc czoło, jeżył czupurynę, fukał, dawał karmelki, aż czasem łapetka spuchła — a przecież my go z całej duszy, z całego serca kochali i wiedzieliśmy dobrze, za co go kochamy.

— Dobrze, dobrze, wiem — masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystji, tylko poprośmy Walentego.

— Mój kochany Walenty, dajcie, dajcie mnie — i mnie.

Jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystjan dał każdemu z nas po odrobinie żółtego wosku.

Poważnie ozwały się organy, miły śpiew chóralny rozległ się po świątyni Pańskiej, i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga, we farze poznańskiej, siedemset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad Pany, aby im dał zdrowie, naukę, bojaźń boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, nauczycielom troski i znoje nagrodził.

Byłem i ja wpośród modlących się, zapomniałem o Berencie, myśl pozbyła się swawoli, pobożnie patrzyłem się na obrządek mszy świętej i dopiero, gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio:

— Czy masz wosk?

— Mam — odrzekłem, i żądza pustoty przebiegła żyły moje.

Od 8=ej do 9=ej był język polski; poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego: słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lube obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innymi pisarzami, i szybko, mile, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. Gorliwy w służbie stary pedel Schal zmianę godzin dzwonkiem ogłosił; wytoczył się poważnie szanowny ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął profesor Berendt. Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich jak dawniej nie mniej, nie więcej, jak siedem; rachuję u lewej, nie dowierzam oczom moim! o radości — sześć tylko. Prawił tymczasem pan Berendt o Wilandzie, myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

— *Ruhig!*

— *Stille* — ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

— *Was ist das?*

Harmonja woskowa zagrała.

— *Du ungezogener Bube* — schwycił mnie za kołnierz granatowego spancerka i silnie za drzwi wyrzucił.

Świeże powietrze owiało mnie; Michałowska, żona stróża szkolnego, roześmiała się, mówiąc: „już to znów na pokucie". Usiadłem sobie przy progu w kuczki; słuchając, jak się tam moi koledzy popisują, i kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowała, ksiądz Antosiewicz, przechadzający się po dziedzińcu, do mnie zagadał:

— A cóż, wilczku, wygnali cię z kniei: pewnoś baranka dusił?

— Nie, księże profesorze, jam nic nie robił — i skrzywiłem twarz moją w grymas płaczu — tylko pan profesor Berent opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem, a wszakże ksiądz profesor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem.

Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył narozcież drzwi klasy i, popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł:

— Kopernik był Polakiem; jest to rzeczą dowiedzioną i żadnej nie ulegającą wątpliwości, proszę pana profesora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Gietyndze, ale nie u nas... — i wychodząc, drzwi za sobą zatrzasnął.

Berendt stał nieporuszony i niemy; łoskot grzmotu nie jest tak głośnym, jak był śmiech i wrzask siedemdziesięciu chłopców!

— *Aha! sehen Sie Herr professor!* nie będę marzł na zimnie — i wyszczerzyłem zęby.

Tu już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi, ławki trzeszczały, nogi tupały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów za drzwi wyleciałem.

— Cóż? — zapytał, przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika.

Ksiądz profesor ledwie wyszedł, on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem, i że Polacy niesłusznie przyznawają...

Nie dał mi dokończyć ksiądz dziekan, trzęsąc się ze złości, wnosi mnie za kołnierz napowrót do klasy, i w najwyższem uniesieniu zawołał:

— Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie, a jeżeli nam pozazdrościli...

— *Was wollen Sie damit sagen, Herr College!*

— *Kopernik war ein Pole!*

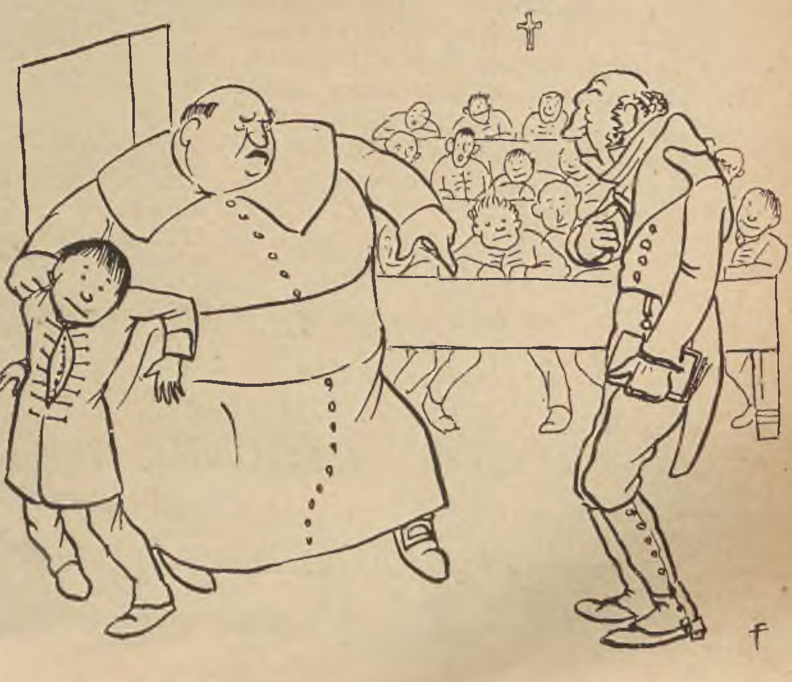
Wtem ukazał się ówczesny rektor Kaulfuss; rzecz się wyjaśniła — cenzor klasy zdał świadectwo, pogodzili się przeciwnicy, i, gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi czytelnicy, że zamilczę, bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboką myśl tych wyrazów „co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole!" do niektórych przynajmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę.

Długo, długo po tem zdarzeniu, jeszcze i na uniwersytecie wrocławskim, moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często, „czy Kopernik był Polakiem?"

Patrząc tu w Warszawie na pomnik tego wielkiego męża, szybko omijam to miejsce. Wczoraj przy ulicy Senatorskiej spytał mnie jeden z dawnych znajomych, „czy Kopernik był Polakiem?"

Łzy zapełniły oczy moje — było to wspomnienie z lat ubiegłych, z lat młodości i szczęścia.





Kapitan A. Blaze, uczestnik pochodów Wielkiej Armji Napoleońskiej, nie grzeszył zbytnią ścisłością w notatkach, które nam przekazał. Jedno ze wspomnień pobytu jego w Poznaniu w 1808 r. jest jednak dość zabawne, by tu je powtórzyć, zachowując dokładność stylu autora-żołnierza.

„Saska para królewska z księżniczką Augustą w przejeździe do Warszawy, zatrzymała się w Poznaniu, gdzie była przyjmowana z honorami wojskowemi. Śmieszna defilada karoc wprawiła nas w zdumienie. Skąd można było dostać podobne pudła, które pochodziły chyba z zamierzchłego średniowiecza? Trzeba było widzieć tych cudacznych dworzan, którzy się uwijali przy królu, te maniery ich, te kostjumy, te długie harcapy, dyndające się na plecach. Najbardziej komiczna charakteryzacja teatralna z trudnością dać może podobny obraz. Nazajutrz po przyjeździe wszyscy polscy i francuscy oficerowie stanąć mieli przed obliczem królewskiem. Podczas tej audjencji, główna zresztą dość komiczna rola, przypadła w udziale zacnemu generałowi Dąbrowskiemu. Stał on obok królewskiej pary, przedstawiając kolejno podchodzących oficerów, przyczem niemało się kręcił i skakał i gadał, kłaniał się na prawo i lewo, zawzięcie postukując ostrogami. Wtem, odwracając się, zahaczył nie bacznie ostrogą o suknię księżniczki, a że podłoga śliska była, więc w konfuzji rozciągnął się na ziemię, rozdzierając suknię od góry do dołu. Ledwie, że nie upadła księżniczka, wczas jednak podtrzymano ją. Wszyscy obecni z trudnością tłumili śmiech i uwagi, nic bowiem nie było komiczniejszego, jak dalsze zachowanie się poczciwego generała, który nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Ale wnet król pierwszy wybuchnął śmiechem, a za nim wszyscy modni paryżanie, królowa, królewna i dworzanie — wreszcie i poczciwy generał, zapominając o despekcie, pękał też ze śmiechu".

*

Tragicznie zakończyła się próba powstania wielkopolskiego w 1846 roku. Trybunał ogłosił w roku 1847 surowy wyrok, na mocy którego 8 z uczestników skazano na karę śmierci, 24 na dożywotnie więzienie, 2 na 25 lat itd.

Kiedy odczytywano wyrok, sędziwy ks. Józef Łobodzki, nie znając języka niemieckiego, spytał sasiada:

— A co oni tam o mnie mówią?

— A to jegomościa na śmierć skazali...

Na to staruszek dobył tabakierki, poczęstował sąsiada i, sam zażywszy tabaki, kiwnął głową i rzekł głośno:

— To się wszystko na nic nie zda, bo oni nam nic nie zrobią...

Jakoż sprawdziło się przeczucie sędziwego bojownika, rewolucja niemiecka uwolniła bowiem skazańców.

*

Gdy w 1848 roku deputacja wielkopolan udała się do Berlina, by molestacje swe zanieść przed tron królewski, jeden z członków delegacji, Aleksander Brodowski, przemawiając do króla, nie mógł powstrzymać się od gestykulacji, której zwykle używał w dyskusji.

Coraz dalej zapędzając się w swoim zapale, pochwycił w pewnym momencie króla za guzik rozpiętego munduru:

— Ależ, kochany dyrektorze! — zawołał rozśmieszony do żywego król — przecież na poparcie swoich argumentów nie potrzeba, abyś mi guziki obrywał.

— Najpokorniej przepraszam Waszą Królewską Mość — odparł dowcipnie Brodowski. — Ani mi się śni czynić zamachu chociażby na guzik królewski, jabym tylko chciał trafić do serca, co pod tym guzikiem bić powinno, aby je dla prośby mojej zjednać.

*

W pamiętnikach Wężyka znajdujemy następujące wrażenie autora z pobytu w Poznańskim teatrze (około 1830 r.):

„Grano nowe sztuki, grano je nawet dość dobrze, (szczególnie mężczyźni). Znalazłem teatr dość pusty, chociaż mi powiedziano, że był pełniejszy, niż kiedykolwiek, a to z przyczyny, że sztuki pierwszy raz były dawane. W lożach więcej osób znajdowało się ze wsi, niż z miasta, a parter i krzesła prawie pustkami stały. Zdaje się, że tak, jak gra w karty, większą część młodzieży wiejskiej od nauk, tak knajpka obywatelstwo miejskie od okazywania współczucia sztukom odwodzi. W czasie sztuki młodzież elegancka, na „lwa" chorująca, przelatywała z loży do loży, jak kanarek na grzędzie, a szelest skrzydełek mieszał się z głosami aktorów. Jeszcze druga sztuczka nie była odegrana w połowie, gdy większa część dam zaczęła opuszczać loże. Zapewne nie z obawy tłoku, jak „to w innych miastach bywa, ale przez naśladownictwo modnego tonu, „tonu, modnego pod schodami" (tytuł jednej sztuki teatralnej). Gdy damy wyszły, niektórzy młodzi panowie, w jednej awanscenie siedzący, zakryli głowy, jeden z nich zapalił cygaro, wygiął się na scenę, akompanjując śpiewającej aktorce i improwizując nowe słowa do piosenki, głośniej prawie od śpiewaczki. Aktorowie, widząc publiczność, znikającą, jak kamforę, kończyli krotofilną sztuczkę prawie z płaczem, a gdy im przyszło śpiewać zwrotkę do publiczności i prosić ją o oklask, primadonna roztworzyła usta i, jak żona Lota, stanęła w osłupieniu... bo już nie było publiczności".



Armja pruska w karykaturze Antoniego Orłowskiego

*

Bogatą spuściznę literacką pozostawił nam rdzenny wielkopolanin, Franciszek Morawski (1783—1861). szczególnie celujący w bajkach, w których niemal równorzędne stanowisko zajmuje z Krasickim. Niejedne z tych bajek ostro były zwrócone przeciw zaborcy, jak naprzykład powieść o kaczce, która połknęła piskorza, ale go strawić nie mogła.

W przypiskach do utworu, wzorowanego na „Panu Tadeuszu", p. t. „Dworzec mego dziadka', znajdujemy pełne humoru wspomnienia o obyczajach ówczesnych, kiedy to na kredensie w starym dworze kielichy, zwane „syndykiem" i „naparstkiem", jak „odęte starą pychą, sterczały potwory".

Widziałem — objaśnia autor — kielich, który 3 butelki pomieszczał, i takie monstrum „naparstkiem zwano. W liczbie rozmaitych kielichów znajdowały się „kije", które odrazu trzeba było wychylić, inaczej pijącego oblewali winem niedopitem. Były i „kulasy"

Przymówki na maj

Suchy marzec, mokry kwiecień,
mokry maj
będzie żyto jako gaj.

Maj, bydłu daj, a sam za piec
uciekaj.. (bo często w
maju na kominie
ogień niecić
trzeba).

Przyjdzie maj,
przecie bydłu daj.

z krótką nóżką bez podstawy. Kielicha takiego nie można było stawiać na stole. Na tak zwanych kulasach nieraz zdarzyło się czytać napis:

Wielkąś krzywdę mi wyrządził,
większą ja ci zrobię,
tyś mi jedną nogę uciął,
ja ci utnę obie...

Najciekawszym przecież był dla swego kształtu kielich sławnego, Kościuszkowskiej rewolucji, generała Madalińskiego. Sławnie on machał pałaszem, lecz i zdrowie natrząsł znakomicie. Gdy przecież wkońcu przebrała się miarka i podagra silnie dokuczać mu zaczęła, w najboleśniejszym jej okresie zawołał zwykłem swojem przysłowiem:

— Ides! jakem Madaliński, już żadnego kielicha nie wypiję w życiu. Hętką pętelką mnie nazwiecie, jeżeli słowa nie dotrzymam!

Trudno było co począć z takiem zaklęciem, zdobył się przecież dowcip szlachecki na koncept nowy. Kazano zrobić w miejsce kielicha sporą armatę szklaną i tę przyrządzono do picia w dzień imienin, generała. Jako żołnierz, jako uraczony solenizant, nie mógł odmówić, wypił, lecz pono raz ostatni, i stąd, choć wkrótce na łożu boleści umarł, mówiono, że „zginął od armaty".

GENERAŁ SOSNKOWSKI

Chlubnie, jasno i czysto zapisane jest to nazwisko na kartach odrodzonej Polski.

Zrządzenie i łaska Opatrzności zachowała tę wybitną postać przy życiu. Młody, bo w kwiecie wieku, organizm przetrwał ciężkie rany moralne i fizyczne, odzyskując siły i zdrowie.

Generał Sosnkowski, ostatnio dowódca korpusu poznańskiego, wkrótce powrócić ma do armji.

I dobrze będzie, że znowu się znajdzie w jej szeregach jednostka wybitna, znakomicie zasłużona Ojczyźnie, jako współtwórca i współorganizator jej siły zbrojnej.

Pod tym względem praca generała Sosnkowskiego ma swój historyczny już dorobek.

Jako minister wojny, obejmując swój ciężki posterunek w okresie, gdy waśnie i antagonizmy formacyjne przegryzały kość pacierzową armji, a różne grupy i grupki ubiegały się o dominujące wpływy, śmiało i odważnie rzucił hasło: — precz z podwórkami i parcelami partyjnemi! i nielitośnie tępił wszystko to, co rozbijało i rozsadzało jej zwartość i jedność.



Generał Kazimierz Sosnkowski, ostatnio dowódca korpusu poznańskiego

Fot. K. Pęcherski

Powszechnie też jest ceniony, szanowany i kochany w armji za swoją prawość żołnierską oraz mądrość i cnotę obywatelską, zaskarbiając sobie jednocześnie zaufanie i wdzięczność całego kraju.

Niewątpliwie dużo jeszcze potrafi dać z siebie Polsce ta wyjątkowo rycerska indywidualność, z której bije jej własny, niezapożyczany znikąd blask, charakter mocny i kryształowo czysty, ogarniający sercem i rozumem całość Ojczyzny.

A więc wracaj i witaj nam, Panie Generale!

ALFONS DAUDET

(Tłomaczyła J. K.)



Alzacja, oderwana od Francji, przechodziła takież cierpienia i bóle pod butem pruskim, jak nasza ziemia Wielkopolska. Stąd też piękne legendy alzackie o bocianach, tym symbolicznym ptaku i u nas i w Alzacji, są bliskie sercu polskiemu, mając za źródło tęsknotę do wolności i pogardę dla wroga.

Jakób-kominiarz

— Kla... kla... kla...

Klekocząc długiemi dziobami i potrząsając suchemi skrzydłami nad uśpionem miastem, przyleciały bociany, a pochyły dach, na którym się usadowiły w ciasnych rzędach, wygląda, jak zasypany śniegiem stok czarnej góry. Pozostaną poczciwe boćki trzy dni i trzy noce, tyle co trzeba, żeby odpocząć, powitać starych znajomych, potem okrążą trzykrotnie miasto i odfruną wielkim trójkątem do Afryki.

— Kra... kra... kra...

Stary Jakób-kominiarz przy pracy: skrobie przed nadchodzącą zimą komin, znajdujący się na dachu, gdzie właśnie rozsiadły się bociany Widząc go, wychodzącego z komina w cylindrze, z drabiną i miotłą, jak djabeł z pudełka, ptaki ucieszone zaczęły się śmiać:

— Patrzcie, stary Jakób...

Bociany bowiem bardzo lubią kominiarzy, uważając ich także za coś w rodzaju wielkich, czarnych ptaków, przebywających tak, jak i one, na dachach.

Ale Jakóbowi nie do śmiechu w tym roku.

— Ach biedne moje boćki, cośmy też przeżyli, odkąd się z wami nie widzieliśmy.

I pocichu, dając upust ciężarowi, gniotącemu mu serce, zaczyna im opowiadać, jak ci piwosze przeprawili się przez rzekę i zajęli kraj, miażdżąc wszystko pod ciężkiemi buciskami.

Pomiędzy tymi złymi ludźmi, do jednego w szczególności stary Jakób czuje straszny żal i złość. Jest to wysoki rudzielec z monoklem w oku, w małej czapeczce bez daszka, z wiecznie ćmiącą się fajką fajansową w zębach. Nazywa się to Rudolf, mówi, że jest studentem. Jeżeli być studentem, to znaczy wychylać od rana do wieczora niezliczoną ilość kufli piwa w knajpach, a w nocy włóczyć się po ulicach, śpiewając, krzycząc, waląc pięścią do drzwi, połyskując szpadą i prowadząc z sobą duńskie psy, złe, jak wilki.

I co za los... Trzeba trafu, że właśnie pod oknem Jakóba, wprost sklepu, mającego za godło żelaznego człowieka, zbierają się, ten łotr Rudolf i jego kamraci. Jakóbowa nie może sypiać po nocach, jak również i mały Jakóbek, który dopiero co był chory.

— Słyszycie? Znów łajdak rozpoczął swoje wrzaski. Ach ty, szelmo, poczekajno, zaraz tam będę.

Wszystkie bociany wyciągają długie szyje, popychają się jedne przez drugie, a stara bocianica, najmędrsza z nich i najsilniejsza, ta, która leci zawsze na czele klucza, woła rozkazującym głosem:

— Zostańcie tu. Ja pójdę zobaczyć, co się dzieje.

Kominiarz obrał najkrótszą drogę na dół — przez komin — to też, gdy nadleciała bocianica, zastała już zaciętą walkę. Przyświecają jej sąsiedzi w oknach z latarniami w ręku. Student ma szpadę, ale Jakób nie zapomniał miotły i obraca nią tak zwinnie, że wielki rudzielec ma cały policzek wyczerniony sadzą. Doprowadzony do wściekłości Rudolf, chwyta szpadę oburącz i już ma rozpłatać na dwoje, jak dynię, czaszkę przeciwnika, gdy rozlega się przeraźliwy krzyk: „Mein Gott“ i łoskot szpady, staczającej się po kamieniach.

Cóż się stało? Gdzie znikł Rudolf? Przybiega patrol, postukując ciężkiemi butami i, choć szuka skrzętnie, świecąc na wszystkie strony latarniami, studenta nigdzie dostrzec nie można. Znajduje tylko jego broń.

— Mein Gott... Mein Gott... — powtarza głos daleki, pochodzący jakby z pod nieba.

Wszystkie głowy i krtanie wznoszą się do góry, aż hen w promieniu księżyca widać wznoszącego się coraz wyżej coś białego. To bocianica frunie z Rudolfem na grzbiecie. Powietrze bywa świeże ponad chmurami, a widok piękniejszy, niż z najwyższych szczytów alpejskich. Student, wytrzeźwiony doszczętnie kurczowo trzyma za szyję dziwnego wierzchowca, mknącego wraz z nim szybciej od wiatru.

Gdzie go tak unosi?

Nieśmiało otwiera jedno oko i poprzez ubarwione jutrzenką różane, seledynowe i złote, lamowane srebrem obłoki, dostrzega gdzieś niziutko w dole i już daleko za sobą, jedwabistą, zieloną wstęgę Renu, potem lasy, pola, dachy, wreszcie wieże, wieżyczki, dzwonnice po których poznaje dawny gród gotycki Norymbergę, gdzie odbywał studja, zanim znalazł się po drugiej stronie Renu.

I widzi pod miastem na górze szynkownię Schlossberg, romantycznie umieszczoną w ruinach starego zamczyska. Jest to ulubione miejsce studentów, i pomimo wczesnej pory, najstarszy z nich, Tebaldus, siedzi na tarasie, dopijając trzydziesty kufel i dopalając czterdziestą czwartą fajkę. W tem miejscu bocianica opuszcza się nagle ku ziemi i jednym ruchem skrzydeł zrzuca swego jeźdźca:

— Jesteś w domu, młodzieńcze..

Rudolf, blady, zmięty, z oczami wisielca, spada na nogi pośrodku tarasu.

— Jak się miewasz? — odzywa się spokojnie Tebaldus i bez żadnego wzruszenia stuka o stół fajką:

— Kelner, piwa i parówek!

Baron von Falkenhorst

Jakób na dachu wraz z dwoma synkami wygląda niecierpliwie powrotu bocianicy.

— Trzymaj się mocno, Franek! Nie płacz, Kacperku! Nie odlecisz, nie! To ten szkaradny major pojedzie sobie za Ren.

I wskazując ręką na rosnącą na tle ciemnego nieba białą plamę, woła:

— Patrzcie, chłopcy, patrzcie. O, dobra bocianico, przybywaj prędzej!

Straszliwa rzecz przytrafiła się staremu Jakubowi. Sławetny major, baron Falkenhorst, wielka figura w niemieckiej armji okupacyjnej, uwidział sobie, że weźmie najstarszego z jego synów, jako dobosza do 901 pułku Pomorskiego. Jakóbowa błagała, zaklinała — major nie chce ustąpić. Uparty jest, jak osieł, ten major, i to osieł pedantyczny, zły, arystokratycznie urodzony, noszący na szyi całe stosy kradzionych orderów, pobrzękujących przy każdem stąpnięciu.

Ale na placu ćwiczeń, tam go trzeba zobaczyć. Oczy, krwią nabiegłe, piana na ustach, klnie, wrzeszczy, kopie i bije pięścią i płazem szabli nieszczęśliwych rekrutów.

Na myśl, że chłopiec jego mógłby być oddany w ręce tego bydlęcia, stary Jakób czuje się bliski rozpaczy. Na szczęście, bocianica będzie tu już za kilka godzin.

Rano na ćwiczeniach...

Pod okiem dowódcy trzy tysiące ludzi maszeruje, jakby jedna lalka na sprężynie. Czoła zmarszczone, oczy bezmyślne, wszystkie ruchy — w prawo! Major z szablą obnażoną komenderuje pośrodku innych wpatrzonych w niego oficerów. Jakież jest ich zdziwienie, gdy widzą nagle wspaniałego swego dowódcę, unoszącego się w przestworza.

— Panie majorze, panie majorze!

Ale ten już bardzo daleko i bardzo wysoko i z różowiejącej mgły porannej widzi swój 901 pułk Pomorski, podobny do pudełka ołowianych żołnierzyków.

Bocianica tymczasem unosi się ponad najwyższe szczyty i lasy jodłowe, mija zamczyska i ruiny, wierzchołki kościołów i frunie wzdłuż Renu, unosząc z sobą majora. Powietrze jest ożywcze, niebo błyszczy wszystkiemi kolorami tęczy.

W szynkach nadbrzeżnych piją wino reńskie, omlety z szynką dymią się na tarasach. Zapachy te mile łechcą nos majora, dochodząc do niego wraz ze śpiewami, śmiechami i gwizdkami statków. Chciałby stanąć tutaj zaraz, więc głosem, którego dobywał podczas wielkich manewrów, krzyczy:

— Stać, stać nareszcie!

Ptak nie zwraca na to uwagi. Major próbuje grozić mu szablą. Podwójny ten młynek napowietrzny poruszających się skrzydeł i rąk wywołuje ogromne zainteresowanie na obu brzegach.

Major klnie, na czem świat stoi, zrzyma się i dławi, oczy na wierzch głowy mu wychodzą. Dobra bocianica w obawie, że go krew zaleje, otwiera dziób. Major wpada do Renu z takiej wysokości i tak ciężko, że plusk wody słychać aż w Kolonji.

Ciężar orderów, butów, szamerunku i złotych epoletów ciągnie nieszczęsnego na samo dno, gdzie boryka się, jak homar w skorupie. Karpie reńskie, wielce zdumione, przepływają koło niego, patrząc się szklanemi oczami. Wreszcie bocianica, uważając, że dostatecznie się odświeżył, daje nurka i wyciąga go za klamrę u pasa.

I któżby teraz w tym kłębie zmoczonym i ociekającym, rzężącym i kichającym, mógłby poznać, o Germanjo, jednego z najwspanialszych twoich baronów, jednego z najwaleczniejszych twoich rycerzy? Przez pięć minut bocianica nim potrząsa, wkońcu rusza w dalszą drogę ku Moguncji, gdzie stacjonuje 901 pułk Pomorski.

Dziś właśnie dzień strzelania na poligonie, słychać salwę za salwą, chmura prochu, przerzynana różowemi błyskawicami, osłoniła ziemię.

— Do mnie, do mnie pułk 901! — ryczy strasznie major, poznając swoich ludzi, ustawionych w dwa rzędy, ich ruchy kanciaste i oficera, stojącego w tyle, sztywnego, jakby kij połknął.

— Do mnie pułk 901!

Na ten okrzyk żołnierze podnoszą głowy i widzą wysoko borykającą się z sobą czarną i białą masę.

— Balon — wrzeszczą — balon!

A ponieważ od czasu oblężenia Paryża został wydany rozkaz strzelania do statków powietrznych, — dowódca komenderuje:

— Pal! Cel!

Wiwat! Strzały były trafne, balon, przeszyty kulami, spada na ziemię, i podczas gdy bocianica umyka zdrowa i cała, major pomiędzy swymi oddaje ducha, szczęśliwy, że w pułku 901 regulamin jest przestrzegany.

— Kla... kla... kla...

To hasło odwrotu. Klekocząc, bijąc skrzydłami, boćki ustawiły się w długi biały trójkąt na tle nieba. Jakób-kominiarz macha kapeluszem:

— Witajcie, dobre, kochane boćki. Dwóch żeście nam wyprawiły. Ale zostało ich jeszcze sto czterdzieści pięć tysięcy sześciuset pięćdziesięciu czterech do wyprowadzenia.

Bocianica, frunąca na czele klucza, odpowiada:

— Bądź spokojny, poczciwy Jakóbie, wkrótce zabierzemy się do roboty wszyscy.

Kominiarz uspokojony powraca do pracy, a miasto zasypia pod radosny skrobot jego strychulca, któremu wtóruje klekot bocianiej gromady.

KOMUNIKAT

Osiągnięty z 9-ej Państwowej Loterji na cele dobroczynne czysty zysk w kwocie 109.074 zł. 93 gr. rozdzieliło Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej w porozumieniu z Generalnym Dyrektorem Loterji Państwowej między 135 instytucyj dobroczynnych, udzielając im subwencje w kwotach od 300 do 5000 zł.

Szczegółowy wykaz tych instytucyj oraz przyznanych im kwot, ogłoszono w „Monitorze Polskim" Nr. 91, z dn. 21 kwietnia r. b.

Losy następnej 10-ej Loterji Państwowej na cele dobroczynne są już w sprzedaży w kolekturach Loterji Państwowej po cenie 6 zł. za cały los, 3 zł. zaś za połówkę.

Główna wygrana 35.000 zł. *Ciągnienie 22 czerwca r. b.*

Scena i sztuka teatralna w Poznaniu



Teatr Wielki w Poznaniu
Fot. R. S. Ulatowski



Teatr Polski w Poznaniu
Fot. R. S. Ulatowski

Na gmachu teatru Polskiego, wzniesionego w 1875 r. z inicjatywy społeczeństwa, od strony dziedzińca, polityczne bowiem władze pruskie prześladowały tę strażnicę polskości, widnieje dumny napis: „Naród sobie", najbardziej wymownie wyrażający dzieje tego teatru.



Piotr Stermicz-Valcrociata,
dyrektor opery w Poznaniu

Dziś, gdy Polska wskrzesła, często zapominamy, iż myśl stałej sceny narodowej w Poznaniu powstała w chwili, gdy pruska buta zaborcza z niezwykłą zajadłością prześladowała wszelkie po-



Dr. Jerzy Koller,
krytyk i recenzent teatralny

czynania polskiej myśli narodowej: używanie języka polskiego w szkołach, ba, nawet na telegrafie, włącznie W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich do Związku północno-niemieckiego, zakaz nabożeństw za generała Skrzyneckiego i obchodu 1000-lecia Kruszwicy, rewizje w redakcjach pism i inne prześladowania bez liku.

Poruszone gorącym apelem grupy inicjatorów, społeczeństwo polskie drogą szeroko zakreślonej subskrypcji publicznej złożyło daninę narodową na ufundowanie sceny polskiej w Poznaniu.

Składki ściągano pod wszelkiemi pozorami, nikt też od nich nie wymawiał się, czy to inteligent, czy to prosty syn ludu, wszyscy bowiem w Wielkopolsce zawsze świadomie i karnie bronili sprawy narodowej.

Hasło, rzucone przez inicjatorów, szerokiem echem odbiło się i w innych dzielnicach, jak o tem świadczy ustęp z apelu krakowskiego komitetu zbiórki:

„Tem więcej Kraków poczuwać się winien do tego obowiązku, że Wielko-



Bolesław Szczurkiewicz,
dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu

polska przy każdej sposobności hojnym zasiłkiem wspierała zawsze wszelkie narodowe usiłowania w naszem mieście".

Świadomie spełnili wszyscy swój obowiązek, albowiem „teatr — jak mówi na inauguracji, jeden z głównych inicjatorów, Adolf hr. Bniński — w pojęciu dzisiejszej cywilizacji uważany jest za szkołę i dźwignię oświaty. Zadaniem sceny nie jest tylko rozrywka, ma ona wyższe powołanie: pielęgnować i kształcić język ojczysty, obudzać duchowo i wydobywać uczucia w głębi serc naszych leżące".

Dzieje sceny narodowej w Poznaniu z wdzięcznością zapisują dzielne i wytrwałe wysiłki, kolejno po sobie dzierżących władzę dyrektorów, a mianowicie: Karola Doroszyńskiego i Wł. Terenkoczego, Łuc. Kościeleckiego, A. Podwyszyńskiego, K. Królikowskiego, Fr. Dobrowolskiego i J. Rychtera, L. Siedleckiego i M. Skirmunta, E. Rygiera, A. Lelewicza i wreszcie obecnego dyrektora, Bolesława Szczurkiewicza, któremu dzielnie sekunduje małżonka jego, Nuna z Młodziejowskich.



Franciszek Ryl,
znany aktor Teatru Polskiego
w Poznaniu

„Czyńmy razem wszystko, co do nas należy, a może kiedyś na karcie dziejów polskich zapisanem będzie, żeśmy tu gorliwie pracowali".

Takiemi słowy zakończył swą inauguracyjną mowę Adolf hr Bniński, otwierając jednocześnie półwiekowy okres ciężkich zmagań, ufny, że karne społeczeństwo poprze szczytne zamierzenia dla utorowania drogi kulturze narodowej.

Teatr Narodowy, wyrosły z pracy, zjednoczonej w głębokiej miłości, to trwały pomnik, przykładem przyświecający wdzięcznej potomności.

Na szlakach wielkopolskich



Klasztor po-benedyktyński w Mogilnie, założony przez Bolesława Śmiałego

Skoro tylko przejedziemy granicę byłej kongresówki, i z wagonu kolejowego chociażby okiem rzucimy na przesuwające się krajobrazy Księstwa, w tej chwili spotrzeżemy, czy to w uprawie pól, czy to w budownictwie, czy też w stanie dróg, ten ogromny dorobek cywilizacyjny, który, pozyskać należy, jest wielką zasługą b. zaborców niemieckich w stosunku dzieła tłumienia wszelkiej inicjatywy, co charaktyryzowało satrapów rosyjskich na terenie ich zaboru.

Stanowczo stwierdzić należy, iż rozporządzając pełnią swobody inicjatywy, potrafimy ją znakomicie zużytkować. Dodać do tego należy surowy „drill“ pruski, pod którym jęczeli nasi rodacy z Księstwa, system, który przynajmniej utrwalił w społeczeństwie poczucie karności, a jednocześnie, budząc odruch reakcji, zachwycił masy do organizowania się.



„Bamberki“ z Gorczyna pod Poznaniem

Nic też dziwnego, iż ta różnica, która nas odrazu na wstępie uderzyła, jeszcze bardziej się uwydatnia w połacie kraju, która nie była ogarnięta destrukcyjną pożogą wojenną.

W pobieżnym szkicu, który tu chcemy nakreślić pod bezpośredniem wrażeniem objazdu poszczególnych miast Wielkopolski, pragniemy uwydatnić postęp cywilizacyjny, który czyni z tej prowincji, jedną z najbogatszych i najlepiej zagospodarowanych stron kraju. Rzucić pragniemy parę sylwetek tych dzielnych włodarzy, których zastaliśmy przy pracy, cieszącej się największem uznaniem społeczeństwa.

W Inowrocławiu

Pierwszy etap naszej podróży, to państwowe żupy solne w Inowrocławiu. Położone są one na zachodnim krańcu położona jest na zachodnim krańcu miasta, w pobliżu miejskiego zakładu kąpielowego, w odległości 1,25 km. od stacji, z którą połączona jest torem przemysłowym. Jest to największa z posiadanych przez państwo polskie warzelnia soli, wybudowana w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia.

Obecnie produkcja soli w salinie odbywa się na 20 panwiach o ogólnej powierzchni 2,200 m², z których 17 jest przeznaczonych dla soli warzonej, a 3 dla kąpielowej. Panwie te mieszczą się w 2 warzelniach murowanych.

Solankę, potrzebną dla produkcji, dostarczają 3 otwory wiertnicze, o głębokości 420 m. każdy, przez które ługowaną jest sól ze słupa solnego. Do przechowywania zapasu solanki do niedawna służył specjalny drewniany zbiornik, o pojemności 1.000 m³, położony w pobliżu saliny. Ze względu na zły stan tego zbiornika i znaczne straty przechowywanej w nim solanki został zastąpiony w roku 1925 przez nowy zbiornik żelazo-betonowy o takiej samej pojemności. Od otworów do zbiornika oraz ze zbiornika do warzelni solanka spływa samoczynnie dzięki sprzyjającemu spadkowi miejscowości.

Poza warzelnią salina posiada kotłownię, elektrownię, stację pomp do eksploatacji otworów wiertniczych, warsztaty, młyn do mielenia soli bydlęcej oraz cały kompleks zabudowań administracyjnych, technicznych, gospodarczych i mieszkalnych. Wartość całego majątku saliny według bilansu otwarcia na 1 stycznia 1925 roku stanowiła około 1,600.000 zł.

Salina produkuje następujące gatunki soli: sól jadalną, przemysłową, bydlęcą i kąpielową.

Zdolność produkcyjna saliny za rządów polskich znacznie wzrosła i wynosi obecnie około 50.000 tonn. W roku 1926 salina wyprodukowała 46,937 tonn o wartości sprzedażnej 9 miljonów złotych.



Mysia wieża w Kruszwicy nad Gopłem



Mieczysław Krzyżankiewicz
gen. dyr. Targów Poznańskich



Fragment z placu Targów.
Dzieki niezmordowanej energji i inicjatywie dyrektora Krzyżankiewicze obecne Targi zapowiadają się niezwykle dodatnio pod każdym względem.

W Chodzieży

Dalej kierujemy się do Chodzieży.

Zaledwie w paru godzinach jazdy od Poznania, miasto, liczące 7.500 ludności położone jest wśród malowniczych wzgórz, trzech jezior i lasów.

Chodzież jest siedzibą starostwa liczącego 43.000 ludności.

Na pierwszem miejscu składamy wizytę staroście, pragnąc zasięgnąć od niego informacyj o powiecie.

Starostą w Chodzieży jest p. dr. Zbigniew Jerzykowski, człowiek o wysokiej kulturze i gruntownem wykształceniu ekonomicznem, które zyskał, studjując na uniwersytetach w Monachjum i Wrocławiu. P. Jerzykowski jest powszechnie szanowany w powiecie. Jednogłośnie przeto poparto jego kandydaturę, gdy ubiegał się o obecne stanowisko, szczególniej, iż jako ziemianin miejscowy, doskonale obeznany jest ze stosunkami i potrzebami okolicy.

Ład i harmonja panujące w stosunku z wydziałem powiatowym i sejmikiem pozwalają na zrealizowanie wielu celowych poczynań, jak np. ufundowanie domu mieszkalnego dla urzędników etatowych. Z rozmowy z p. Jerzykowskim wnosimy o ciągłym rozwoju powiatu. Stan dróg (187 km.) — doskonały. Stan zdrowotny, wobec doskonałych warunków naturalnych i wszechstronnych urządzeń hygjeniczno-sanitarnych jest bardzo pomyślny.

Łaskawie przedstawieni p. burmistrzowi miasta zwiedzamy z kolei wszystko, co rzeczywiście warte jest tu zobaczenia.

Dzięki skoordynowanym wysiłkom burmistrza, p. Bronisława Marona i członków rady miejskiej, Chodzież stale zdobywa wszelkie wzorowe urządzenia, jak gazownię, wodociągi kanalizacyjne, nowe studnie, rzeźnie i chłodnię. Jakoż, pod czujnem okiem gospodarzy, wcale okazale przedstawia się majątek miejski, którego wartość wynosi 2.390.000 złotych. Wszelkie inwestycje pokrywa-



Fragment z Fary Św. Mikołaja w Bygoszczy



Profesorowie rumuńscy przybyli do stolicy celem wygłoszenia szeregu odczytów Fot. Prasa.

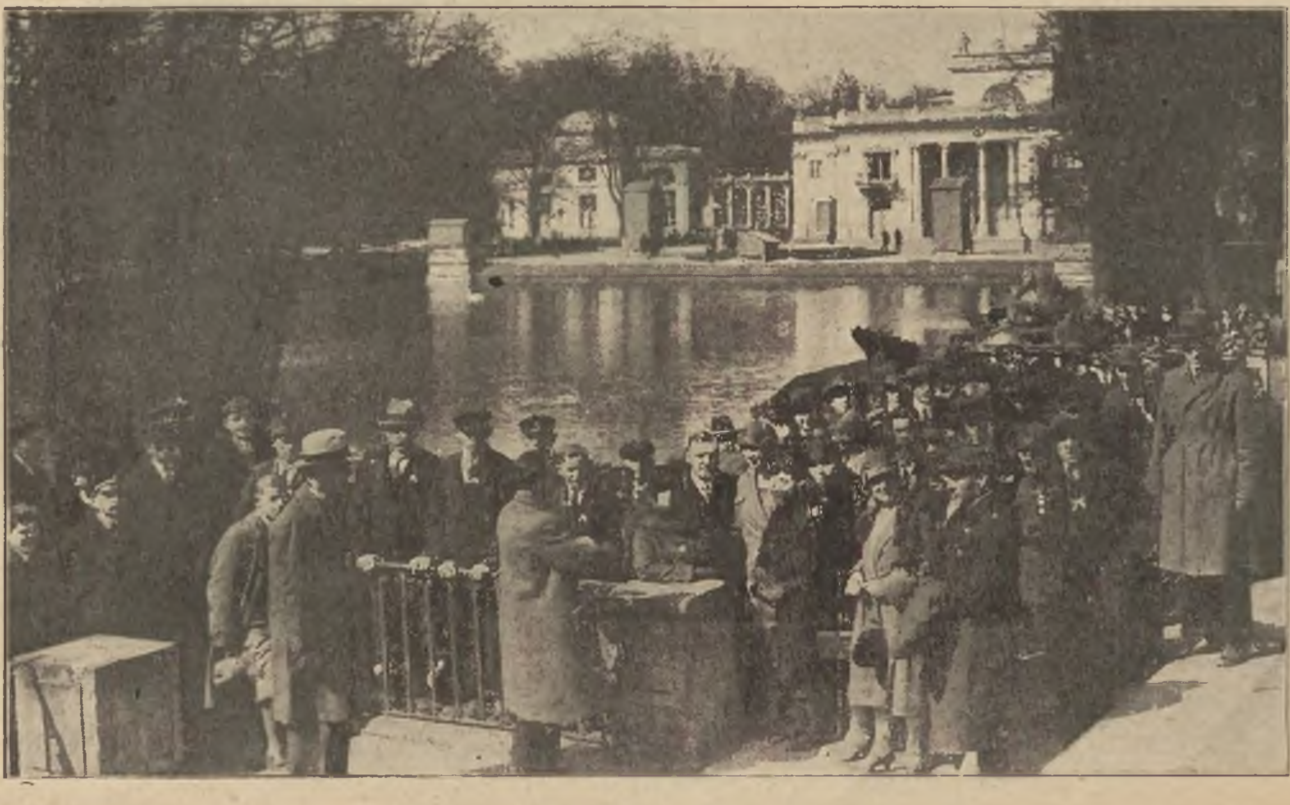


Nagroda plastyczna m. Warszawy przypadła w udziale zasłużonemu Apolonjuszowi Kędzierskiemu



Zbiórka harcerzy-cyklistów podczas wszechpolskiego zjazdu. Fot. Prasa.

Do bieżącego numeru „Famulusa" dołączyliśmy dla naszych Prenumeratorów 6-ty arkusz powieści p. t. „Tajemnica pokoju nr. 17".



Wycieczka kaszubów w parku Łazienkowskim. Fot. Prasa.



Uliczna sprzedaż dewocjałów w Madrycie.

Zakonnice francuskie pośpiesznie uciekają przed żołdactwem Kuomintanga

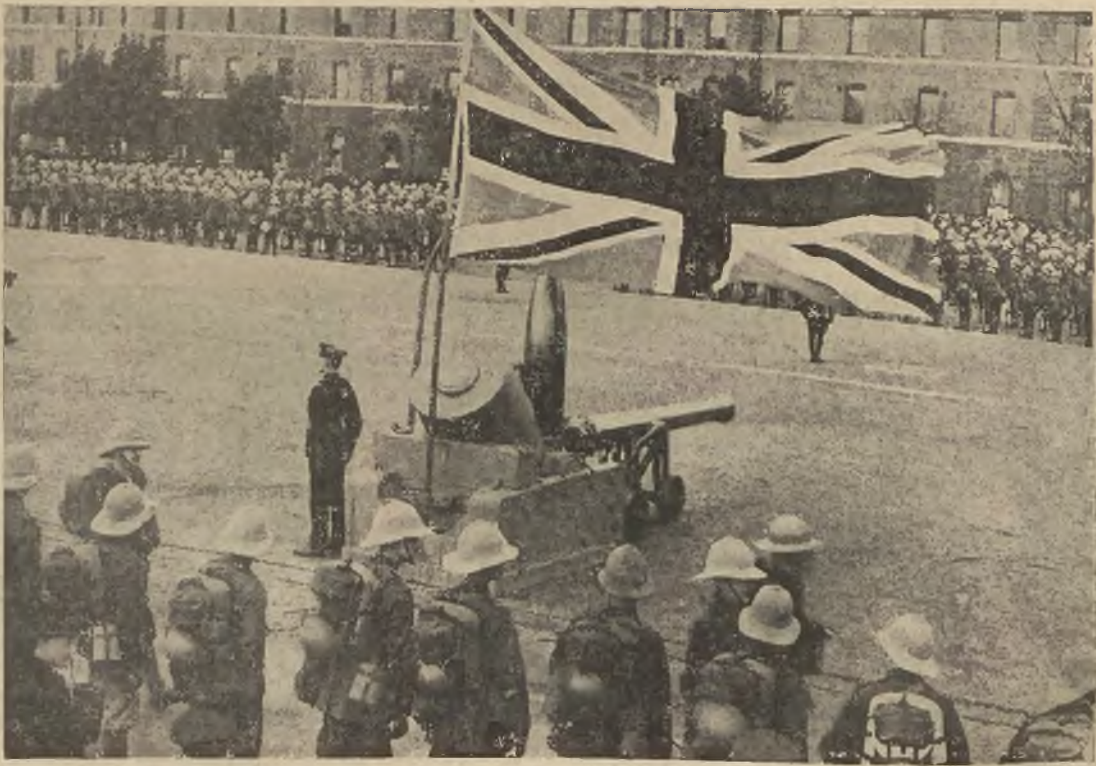




Z ilustracyj angielskich: Malec angielski karmi jeńców chińskich „jak zwierzęta w Zoo“ (sic). Jakże tu Chińczycy nie mają się burzyć?

Szczęśliwiec z kopalni złota w Newadzie (jeszcze nie w Pińszczyźnie)





Wciąż nowe siły wysyłają Anglicy na Daleki Wschód. Defilada wojsk przed sztandarem

ne są z własnych funduszów. W bieżącym roku rozpocznie się budowa domu mieszkalnego dla 12 rodzin i przebrukowanych zostanie 5 ulic.

Wielce okazałą budowlą w mieście jest piękne sanatorjum.

Nic też dziwnego, że ze wszystkich zakątków kraju ściągają, zwabieni uroczem położeniem letniska, chorzy i pragnący odpoczynku, mile bowiem, swojsko, zdrowo i tanio jest w tem małem Edenie.

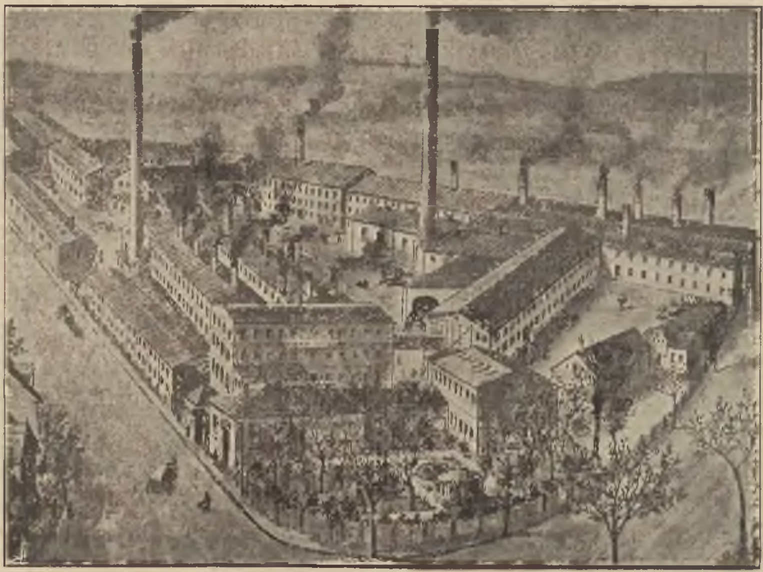
Prawdziwą również niespodzianką jest stan szkolnictwa w Chodzieży: 8-klasowe gimnazjum koedukacyjne, szkoła rolnicza wielkopolskiej izby rolniczej, szkoła przemysłowo dokształcająca i 2 ochronki.

Chodzież jest ponadto miastem o wybitnie przemysłowo-handlowym charakterze: 2 fabryki garncarskie (jedna fajansu, druga porcelany), 3 cegielnie, 2 fabryki maszyn i 2 fabryki mebli zatrudniają ogółem 1800 robotników.

Z kolei udajemy się do fabryki fajansu Stanisława Mańczaka, o której wiele już słyszeliśmy na rynku polskim.

Fabryka ta jest największym zakładem w Chodzieży. Została w r. 1921 wykupiona z rąk niemieckich przez pp. Manczaków. Dzięki uprzejmości dyrektora handlowego p. Maksymiljana Manczaka, zwiedziliśmy całą fabrykę, gdzie skonstatowaliśmy doskonałą organizację i systematyczny podział pracy. Fabryka w ostatnich latach została powiększona i całkowicie zreorganizowana. Poprzednio zatrudniała 160 robotników, obecnie 600.

Przy fabryce znajduje się: czytelnia, łazienki, domy familijne dla robotników i urzędników. Zarząd fabryki urządza na terenach fabrycznych duży park z placem sportowym, plażą i t. d. Prócz tego na placu będzie się mieścić rodzaj cukierni, sala do zabaw i rozrywek kulturalnych. Projektowane jest porozumienie z prelegentami z całego kraju,



Ogólny widok fabryki S. Mańczaka w Chodzieży

którzyby wygłaszali dla braci robotniczej odczyty o treści naukowej ilustrowane przezroczami. Przy fabryce znajduje się ochotnicza straż ogniowa i orkiestra. Fabryka ma 1 miljon wzorów do artykułów codziennego użytku, jak luksusowych tak i artystycznych. Zaopatruje wszystkie dzielnice Polski, jak również w znacznej mierze eksportuje do Ameryki, Holandji, Szwecji, Norwegji i t. p. Sprężysta organizacja, bajeczne warunki sanitarne pracy, kulturalne zwracanie się właścicieli biura do swoich pracowników dają możność ogromnej wydajności pracy. W fabryce znajdują się najnowsze urządzenia techniczne. Czynna jest bez przerwy. Obecni właściciele ustawicznie czynią kolosalne inwestycje. Dyrektorem naczelnym fabryki jest p. Stanisław Manczak, dyrektorem handlowym p. Maksymiljan Manczak, technicznym p. Sylwester Manczak, prokurentem i szefem biura p. Czesław Kukułka. Wyroby firmy reprezentowane są w Warszawie przez firmy: Aleksander Łakomski, Bracka 20 i Al. Jerozolimskie 23 „Ćmielów", Marszałkowska 124.

W Obornikach

Następną naszą wycieczkę kierujemy do Obornik.

Miasto liczy 5 500 ludności. Oborniki posiadają 2 szkoły: 7-klasową szkołę elementarną z równoległemi oddziałami, (razem 12 klas). Szkoła ta mieści się we własnym budynku; sześcioklasowa szkoła wydziałowa, czyli t. zw. niższe gimnazjum, posiada nowo wybudowany gmach. Rada szkolna postanowiła szkołę tę przekształcić na gimnazjum. Stan zdrowotny miasta jest bardzo dobry. Miasto posiada szpital na 50 łóżek. Ufundowano stację opieki nad matką i dzieckiem i przytułek dla starców i dla dzieci w wieku przedszkolnym. Miasto posiada własną gazownię, rzeźnię i rzeźnie eksportową. Od roku 1920 przebrukowano 14 ulic, Wybudowano 2 domy dla 16 rodzin robotniczych i hale targową. Przebudowano szpital, w trakcie budowy znajduje się dom mieszkalny dla

FABRYKA FAJANSU S. MAŃCZAKA W CHODZIEŻY



Tysiącami dziennie wychodzą przeróżne wyroby



Ciężkie maszyny wyrabiają filigranowe cacka

13 rodzin. W roku obecnym przeprowadzono budowę 2-ch nowych ulic i parku miejskiego. Projektuje się budowa koszar wojskowych i wodociągów. Nabyto 200 mórg roli, na których projektuje się założenie wielkiego parku i letniska. Burmistrzem miasta jest p. Michał Maćkowiak rodem z Buszywka. Za czasów niemieckich, był komisarzem śledczym, podczas wojny europejskiej został naczelnikiem policji w Tomaszowie. Po odzyskaniu niepodległości rada miejska m. Tomaszowa obrała p. Maćkowiaka naczelnikiem policji. Następnie p. Maćkowiak wyjeżdża na Górny Śląsk, skąd usunięty został przez Niemców za pracę konspiracyjną. W roku 1919 został mianowany przez radę naczelną komisarzem obwodowym w Pułajewie, a dowództwo sił zbrojnych powstańczych mianowało p. Maćkowiaka dowódcą bataljonu. Z bataljonem tym stał p. Maćkowiak na odcinku frontu Czarnkowskiego, aż do zawarcia pokoju. P. Maćkowiak posiada odznakę „Odrodzenia Polski", „Krzyża Powstańca Broni" i dyplom zasługi obywatelskiej za czynny udział w powstaniu.



Poświęcenie szpitala w Obornikach. Uczestnicy z prezydentem Maćkowiakiem na czele udają się na miejsce uroczystości.



Sanatorjum kasy emerytalnej w Chodzieży.

W Żninie

Przyjeżdżamy do Żnina.

Powiat liczy 42.000 ludności. W skład powiatu wchodzą miasta: Żnin (m. powiat.), Janowiec, Rogoźna, Gąsawa, gmin 95, obszarów dworskich 50. Stan zdrowotny b. dobry. Wydział powiatowy posiada szpital na 60 łóżek. Państwowych dróg powiat nie posiada. Dróg krajowych jest 67 klm., powiatowych szosowanych 13 klm., gminnych 200 klm. Starostą jest p. Jarosław Szczerbiński, urodzony w r. 1899 pod Tarnowem. Uniwersytet i wydział prawa i administracji ukończył w Krakowie. Poświęcił się zrazu karjerze notarjalnej, by w r. 1915 przerzucić się na karjerę administracyjną. Kolejno zajmuje stanowiska w Łańcucie, Wieliczce, Poznaniu, Kościanie i ostatnio, od 4 lat w Żninie. Starosta żninski przeprowadził wybory do sejmiku. Praca z wydziałem powiatowym i sejmikiem zgodna jest w całej rozciągłości, sejmik bowiem jest wszechstronnym reprezentantem interesów powiatu bez demagogicznego i jedno-

stronnego zabarwienia. Ludność patrjotyczna. Opinja publiczna ogromnie wyrobiona. Przestępczość w powiecie jest znikoma. Powiat stosunkowo młody powstał w r. 1886 z 3 skrawków: Powstała w poiecie duża cukrownia i zorganizowano 50 spółek wodnych. Powiat wybudował kolejkę powiatową, połączenie z Notecią. Dochód z kolejki 100.000 zł Sejmik płaci 3-ci rok zrzędu na dom akademicki w Poznaniu. Powiat utrzymuje 2 stypendja za 550 zł, na wychowanie fizyczne 8.000 zł. Ogromną uwagę obecny starosta przypisuje wychowaniu fizycznemu. na które łoży się w tym roku 8 000 zł.



Wieża w Szamotułach

W Pleszewie

Po przybyciu do Pleszewa zgłaszamy się do starosty, p. d-ra Władysława Wieczorka.

Starosta dr Wieczorek, rodem ze Zgierza, wyższe studja (prawo i ekonomika) odbył w Poznaniu. Po odbyciu praktyki w urzędzie wojewódzkim został mianowany starostą w Pleszewie, gdzie cieszy się ogólną popularnością

Powiat mój — objaśnia nam dr. Wieczorek — liczy 38.325 ludności. W skład powiatu wchodzi miasto Pleszew, obszarów dworskich 45, gmin 72 w tem 95% ludności polskiej, reszta Niemcy i żydzi. Powiat pod względem zdrowotnym stoi bardzo dobrze, stan dróg doskonały.

Współpraca moja z Wydz. powiatowym idzie b. dobrze. Sejmik na oświatę wyasygnował na rok bieżący 13.740 zł., na kulturę i sztukę 2.200 zł., na zdrowie 6.260 zł. na pomoc położną 3.300 łz., na opiekę społeczną 16.360 zł.

Udajemy się z kolei do burmistrza, p. Franciszka Nowackiego.

Miasto Pleszew — objaśnia nam p. Nowacki — liczy 8.415 ludności, z tego katolików 7.991 t. j. 94.9%, ewangelików 351 czyli 4%, żydów 68 osób czyli 1,1%. Mężczyzn ogółem 3.812, kobiet 4.603, domów 519, ognisk domowych 1.824, obszarów gruntu miejskiego 1.271 hektarów. Pleszew posiada 8 kl. gimnazjum państwowe, realne im. Staszica, 8 kl. szkołę wydziałową i 7 kl. szkołę katolicką męską, żeńską i ewangelicką. Szkoły te, t. j. 8 kl. wydziałowa, katolicka męska i żeńska z ewangielicką posiadają własne gmachy, specjalnie na ten cel ufundowane. Stan zdrowotny miasta przedstawia się dobrze.

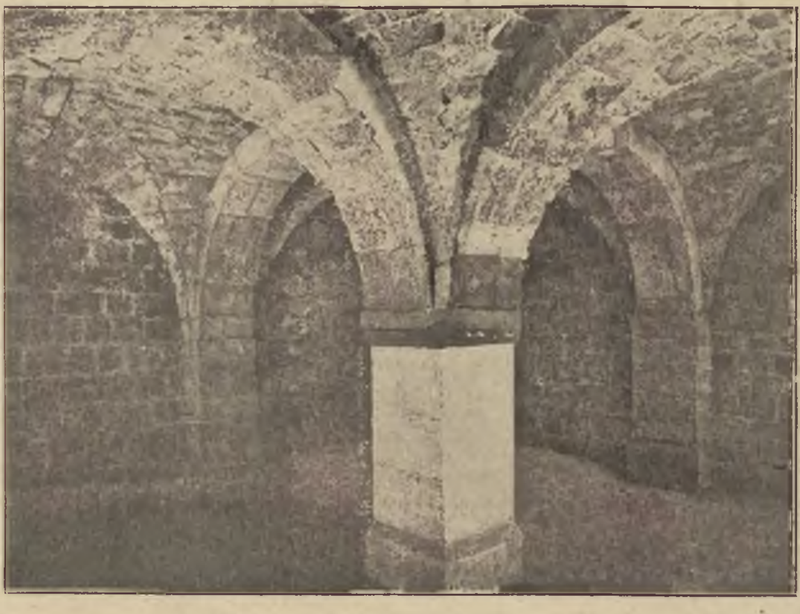
Oprócz instytucyj miejskich i samorządowych posiadamy zakład leczniczy S-tego Józefa, pod kierownictwem S.S Służebniczek imienia Marji, który jest prowadzony we własnym zakresie.

P. Franciszek Nowacki pochodzi z Ostrzeszowa, z rodziny mieszczańskiej Nauki szkolne pobierał w Ostrzeszowie i Ostrowie. Od 16 roku życia z przerwą wojny światowej pracuje w samorządach miejskich. Zajmował stanowisko burmistrza w Opalenicy, a od r. 1921 w Pleszewie, na której to placówce zastajemy go dzisiaj.

Kasa Chorych w Pleszewie liczy 6 000 członków, członków rodzin zaś 8.400. Kasa Chorych w Pleszewie mieści się we własnym, specjalnie na ten cel wybudowanym gmachu. W kasie pracuje



Typ kobiecy z okolic Poznania. Oryginalne stroje wieśniacze powoli modyfikują się, naśladując miejskie, może wbrew estetyce, ale zato w myśl oszczędności.



Fragment z krypty w klasztorze pobenedyktyńskim w Mogilnie (XI w.)

7 lekarzy z D=rem Uliszurskim na czele, dentystów 3, personelu sanitarnego 12. Kasa jest materjalnie samowystarczalna.

Wydatki na świadczenia do ogólnego dochodu wynoszą 90,62%, koszta administracji 7,30%, koszta ogólne 1,82%, odpisy na fundusz amortyzacyjny 0,49%, na fundusz zapasowy spisano 10,32%.

Dyrektorem Kasy jest p. Ignacy Boruciński, przewodniczącym p. Stanisław Flaczyński. P. Boruciński pochodzi z Pleszewa, gdzie pobierał nauki. Z zawodu jest elektromonterem. Od czasów niepodległości został Dyrektorem Kasy Chorych w Pleszewie.

We Wrześni

Podjeżdżając do Wrześni staje nam w pamięci smutny dramat z przed 25 lat kiedy to obojętna nawet opinja Europy zwróciła uwagę na sprawę polską, na jęki katowanych dzieci przez dzikich „kultuzträgerów" pruskich.

Września, miasto liczące 8.500 ludności jest siedzibą starostwa, zamieszkałego przez 50.000 ludzi, obejmującego miasta Miłosław i Strzałkowo, 90 gmin i tyleż obszarów dworskich. Mniejszości narodowe stanowią znikomy odsetek niecałych 4 proc.

Stosunek ludności do władz—objaśnia nam starosta, p. Adam Charkiewicz — jest najzupełniej lojalny i karny, co znajduje swój wyraz w harmonijnej współpracy z przedstawicielami samorządów. Stan dróg, zaniedbanych w ostatnich czasach przez Niemców jest dziś daleko lepszy.

Starosta, pochodzący sam z Małopolski



Ratusz we Wrześni

(Tarnopol), doskonale zżył się z ludnością, praktykę bowiem ma niemałą w sprawach administracji, w której to dziedzinie po ukończeniu szkół wyższych we Wiedniu i Lwowie, pracuje oddawna, zajmując odpowiedzialne stanowiska w Bośni i Małopolsce. Stanowisko starosty wrzesieńskiego zajmuje od 1921 r., gdzie zdołał sobie zaskarbić ogólną sympatję ludności.

Odwiedzamy z kolei burmistrza, p. Wacława Sołtysiaka, który łaskawie oprowadza nas po mieście. Szkolnictwo, we Wrześni stoi na bardzo wysokim poziomie: 8-klasowe gimnazjum neoklasyczne, 6-klasowa szkoła wydziałowa,



Adam Charkiewicz, starosta pow. wrzesińskiego

7-klasowa szkoła powszechna, szkoła rolnicza, szkoła mleczarska, wieczorna szkoła dokształcająca, przedszkole i ochronka.

Miasto jest skanalizowane, posiada wodociągi, piękne boiska sportowe i park. Staraniem miasta ufundowano wzorową poradnię dla matki i niemowlęcia.

Po kolei zwiedzamy urządzenia miejskie, — elektrownie, wodociągi, rzeźnię, dom urzędniczy i 4 czynszowe nieruchomości. Jeżeli dodać do tego 280 morgów gruntu i liczny tabor miejski to widzimy, iż miasto Września jest wcale bogatem i ma wielkie szanse dalszego rozwoju.

Przyznać należy, że poszczęściło się mieszkańcom z wyborem burmistrza. P. Sołtysiak bowiem, z pochodzenia ziemianin z Wielkopolski, człowiek światły i energiczny daje wszelkie gwarancje podejmowania i zrealizowania najszerzej zakrojonych zamierzeń.

P. Sołtysiak, jak się dowiadujemy, ukończył Akademję Handlową w Berlinie. Brał czynny udział w wojnie światowej, co dało mu niezbędną praktykę do szybkiego i sprężystego zorganizowania Wojskowych Powstańczych oddziałów w Kruszwicy. Powołany do wojska polskiego, dzielnie spełnia obowiązek oficera, by po zdemobilizowaniu, w 1921 r. wstąpić do administracji państwowej.

Wybrany burmistrzem w Szubinie po 2 latach został elektem we Wrześni gdzie od 3 lat urząd burmistrza piastuje P. Sołtysiak bierze niezmiernie czynny udział w pracy społecznej, pełniąc przewodniczące funkcje w instytucjach, gdzie go powołują, ufni w energję i sumienność dzielnego tego człowieka.

W Mogilnie

W Mogilnie, dokąd udajemy się z kolei, gościnnie podejmuje nas starosta p. Władysław Slaby, udzielając nam informacyj o powiecie.

Powiat liczy ponad 50.000 ludności (30 proc. Niemców). W skład powiatu wchodzą miasta Mogilno, Trzemeszno, Pakość i Gębice, 48 obszarów dworskich 116 gmin.



Władysław Słaby, starosta pow. mogilnickiego

Pomimo niskiego położenia, sprzyjającego rozwojowi chorób płucnych, stan zdrowotny jest zupełnie dobry. Zwiedzamy wzorowo urządzony szpital na 60 łóżek, do którego projektuje się dobudowanie baraku dla zakaźnych.

Stan dróg (144 km.), z których 30 i pół km. państwowych, jest bardzo dobry.

Zwiedzamy wzorową szkółkę drzew, ufundowaną przez wydział powiatowy, w której podziwiamy znakomicie prowadzoną kulturę.

P. starosta Słaby, rodem z Brzeżan, ukończył studja we Lwowie i Wiedniu. Pracując zrazu w namiestnictwie, powołany został w 1919 r. do ministerstwa b. dzielnicy pruskiej, następnie zaś od 1923 r. kolejno zajmuje stanowisko starosty w Wolsztynie. W styczniu r. b. został przeniesiony do Mogilna, gdzie obecnie go zastajemy.

Dudy i dudziarze w Wielkopolsce

Niedarmo skarżą się w swej pieśni ostatni dudziarze:

A ja duda i ty duda
i obaj my dudzi,
a komu my zagrajemy,
kiej niema nam ludzi...

Dudy, rodzimy nasz instrument ludowy, zamiera i ginie. Przechowała go dotąd, jak zresztą wiele innych skarbów ojczystych, Wielkopolska. Przechowała nietylko dudy i dudziarzy, lecz nawet majstrów, umiejących sporządzać ten prastary i niegdyś bardzo rozpowszechniony instrument, a więc może i nie powinien on zaginąć, jeżeli tylko troska o przechowanie zabytków kultury narodowej oszczędzi nam między innemi i dudy.

Zdaje się, że tak będzie, gdyż przed trzema laty zaopiekował się dudami, jako zabytkiem polskiej kultury muzycznej, w okresie swego dowodzenia korpusem poznańskim generał Sosnkowski, z którego inicjatywy rozpoczęto studja nad tym instrumentem i możnością przystosowania go do orkiestr wojskowych.

Studja wypadły pomyślnie, to też w najbliższej przyszłości spodziewać się należy zrealizowania planu i „dudlenia" dud przy przemarszach i paradach wojskowych.

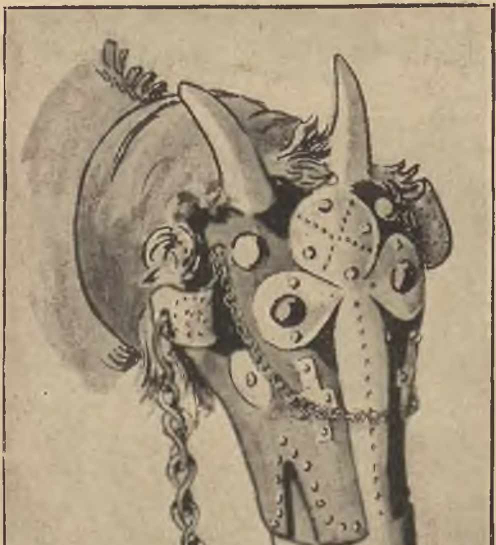


Melchjor Rudkowski w Wielkiej Wsi pod Bukiem ze zbudowanemi przez siebie dudami.

Ciekawa i oryginalna jest konstrukcja tego instrumentu.

Główny miech dud robi się ze skóry koziej. Mieszek do nadymania, zwany „dymaczką", również sporządza się ze skóry koziej lub baraniej. Piszczałki są z drzewa śliwkowego, tego drzewa bowiem nic chwyta się robactwo. Piszczałka o 6+1 dziurkach zwie się „przebierką", jako że po dziurkach przebiera się palcami, jak na flecie. Wewnątrz przebierki mieści się „treść", czyli dusza z trzciny lub z krzewu, zwanego „trzmiel" (trzmielina, evonymus europea). Woskiem, nalepianym na „treść", nastraja się dudy, chcąc zharmonizować je ze skrzypkami. Długie dwie rury, wychodzące z miecha, zagięte na końcu w kształt fajki, z których jedna spoczywa na ramieniu grajka, druga zaś zwisa z przodu, nazywają rogami. Jedna zakończona jest istotnie rogiem krowim.

Wielce ozdobną część dud stanowi drewniany t. zw. „łopek", który wyobraża łeb kozy z różkami mosiężnemi lub sporządzonemi z kłów knura. „Łopek" zdobią ponadto blaszki mosiężne, powycinane w przeróżne wzory.



„Łopek" dud Gurbady, dudziarza ze Środy, który dzielnie włada swoim instrumentem.

Czyż nie należałoby, aby „Radjo Poznańskie", które tak uroczyście ubiegłej niedzieli rozpoczęło swoją działalność, zaprodukowało światu oryginalny koncert na dudach? Napewno zjedna sobie powszechne uznanie i wdzięczność i przyczyni się do zainteresowania tym prastarym instrumentem ojczystym.

Zebrała się moc ludu,
dudy beczą: du-du-du!
Nie odwracaj się luba,
pojedziemy do ślubа,
dla dudziarza grosiczek,
a dla ciebie pierniczek...

(Z piosnek dudziarskich)



„Łopek" dud Melchjora Rudkowskiego, odrobiony bardzo pomysłowo i z wielką precyzją

LETNISKO WIELKOPOLSKA

CHODZIEŻ

PIĘKNIE POŁOŻONE I OTOCZONE LASAMI, JEZIORAMI I WZGÓRZAMI, JEST JEDYNEM MIEJSCEM WYPOCZYNKOWEM DLA CHORYCH PIERSIOWO, REKONWALESCENTÓW I JEDYNEM MIEJSCEM WYPOCZYNKU PODCZAS WAKACYJ.

Bliższych informacyj udziela zawsze Magistrat m. Chodzieży

Ceny minimalne

Na miejscu tennis, łazienki, łódki, orkiestra i inne gry rozrywkowe

Powiatowa Kasa Oszczędności

W ŻNINIE

INSTYTUCJA BANKOWA PRAWA PUBLICZNEGO O PUPILARNEJ PEWNOSCI

PRZYJMUJE WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE NA DOGODNYCH WARUNKACH I ZAŁATWIA WSZELKIE W ZAKRES BANKOWOŚCI WCHODZĄCE OPERACJE KREDYTOWE



Sport w Wielkopolsce

(Fot. „Przegląd Sportowy")



Zespół piłki nożnej „Warty"

Poznań jest dzisiaj bezprzecznie najbardziej ruchliwym, a co ważniejsza, najwszechstronniejszym po Warszawie ośrodkiem życia sportowego w Polsce.

Nie zasklepiając się jedynie w piłce nożnej, która stosunkowo niżej stoi, niż w innych wielkich miastach kraju, Poznań rozwinął u siebie doskonale lekką atletykę, boks, pływanie, wioślarstwo, kolarstwo, tennis i wiele innych dziedzin sportu, któremi interesują się szerokie koła miłośników.

Przyczyniła się do tego znacznie siedziba Centralnej Wojskowej Szkoły Gimnastyki i Sportów w Poznaniu, gdyż z jednej strony dawała miejscowym klubom instruktorów, z drugiej zaś — skupiając w sobie niejednokrotnie elitę sportowców z całej Polski, pozwalała widzieć na miejscu zawody o duże wartości.

Najpotężniejszym klubem sportowym w Poznaniu jest K. S. Warta, znana z chlubnych wyników swej pracy w całym kraju, a nawet zagranicą.

Dalej idą kluby: Unja, Poznanja, Pogoń, Akademicki Związek Sportowy i długi szereg pomniejszych, krzewiących z poświęceniem ideję wychowania fizycznego wśród mas.

Charakterystyczną cechą organizacy sportowych Poznania jest ich wysoka karność w stosunku do wyższych władz czem zjednały sobie one powszechne uznanie.



Zespół lekkoatletyczny „Warty"



Mistrz Szwarc na finiszu o puhar „Kurjera Poznańskiego"



Adamczak, mistrz Polski, w skoku o tyczce





Z wiązanki ostatnich wybryków sezonu, może choć cokolwiek wybiorą sobie nasze Czytelniczki, parę razy wszak byliśmy praktyczni, czas przeto na fantazję.

A więc zaczynamy...

Augurowie ze stolicy mody zadecydowali, że na wieczorową czarną sukienkę wkładać należy coś w rodzaju męskiej marynarki z mieniących się w blaskach materyj.

Kolor turkusowy podobno będzie najmodniejszy, nawet na kapeluszach.

Precz z drapowanym układem kapeluszy — zawołano tam, w stolicy — tylko drobne pliski.

Zato wybór ogromny pozostawia się Paniom, gdy mowa o broszkach i szpilkach, jedynem tolerowanem upiększeniem nakrycia głowy.

Chłopczyce upodobały sobie małe kwadratowe chustki, koniecz nie w duże groszki do zawiązania na szyi lub biodrach.

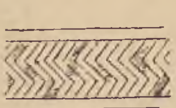
I naturalnie, do kostjumu rękawiczki męskie z grubego zamszu, ręcznie wyszywane. Na wieczór tylko, chłopczyca jest kobietą, wciąga więc rękawiczkę „suède" na 3 guziki z perel, a na nóżki, do tańca, wkłada przesadnie wycięte pantofelki.

Kwiaty na suknię przypina się inaczej w dzień — na okrągło, inaczej wieczorem — kaskadą.

Nikomu nie wolno krytykować augurów, bo za miesiąc znów będzie inaczej...





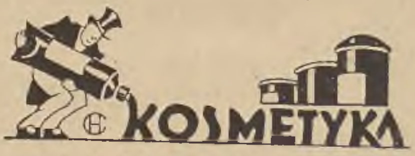












Obejmując prowadzenie działu kosmetyki leczniczej w „Famulusie" komunikuję, że Czytelniczki i Czytelnicy tego organu mogą się zwracać do mnie z zapytaniami, jakim sposobem usunąć następujące defekty:

Kurzajki, brodawki, znamiona, ksantomaty, prosa (milium), kaszaki, trądziki, ślady ospowe, czerwoność nosa, rąk, wągry, piegi, plamy barwikowe, ostudę, zmarszczki i t. p. wady.

Osoby ,zwracające się do mnie z wymienionemi defektami, proszone są o szczegółowe określenie stanu swego zdrowia, bowiem wiele i bardzo wiele wad zewnętrznych ma podłoże chorób wewnętrznych,

Również pożądane są wiadomości, w jakich warunkach dana osoba się znajduje, czy nie przechodziła chorób zakaźnych i jakich.

Obraz taki da mi możność orjentowania się, wreszcie przeprowadzona korespondencja dopełni całości.

Pragnę, aby moja praca w „Famulusie" była poważna, pożyteczna i owocna oraz, aby osoby z niej korzystające, osiągały dobre rezultaty.

Listy adresować proszę: Warszawa, Niecała 5, W. Klimecki.



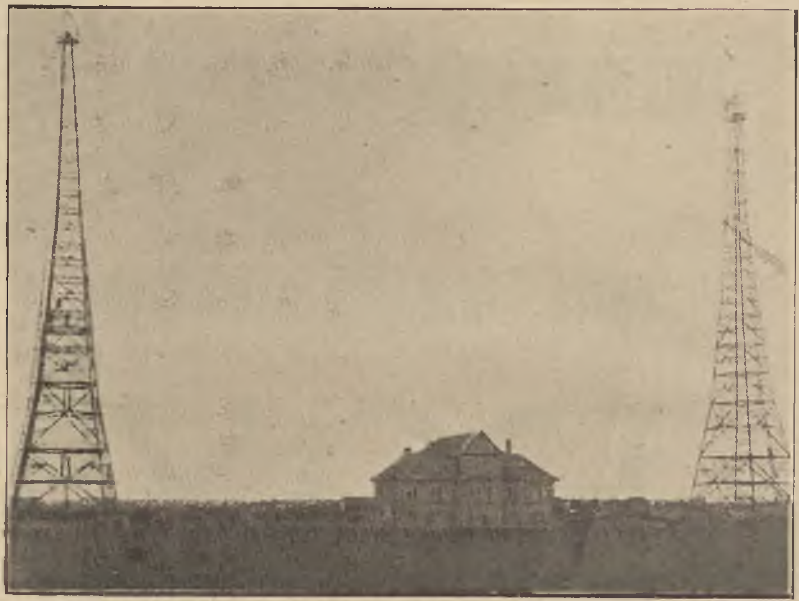
Otwarcie Radjostacji Poznańskiej

Pomijając inne względy, o których już niejednokrotnie wspominaliśmy w tem miejscu podkreślić jeszcze należy, iż budowa radjostacyj w głównych ośrodkach kraju odgrywa niezmiernie doniosłą rolę, jednoczy bowiem we wspólnym kierunku myśli mieszkańców poszczególnych dzielnic, niwecząc sztuczne granice, smutną pamiątkę niewoli.

W wielkim tygodniu radjosłuchacze całej Polski w skupieniu sluchali śpiżowego głosu Zygmunta, niosącego z prastarej stolicy echa tradycyj minionych czasów.

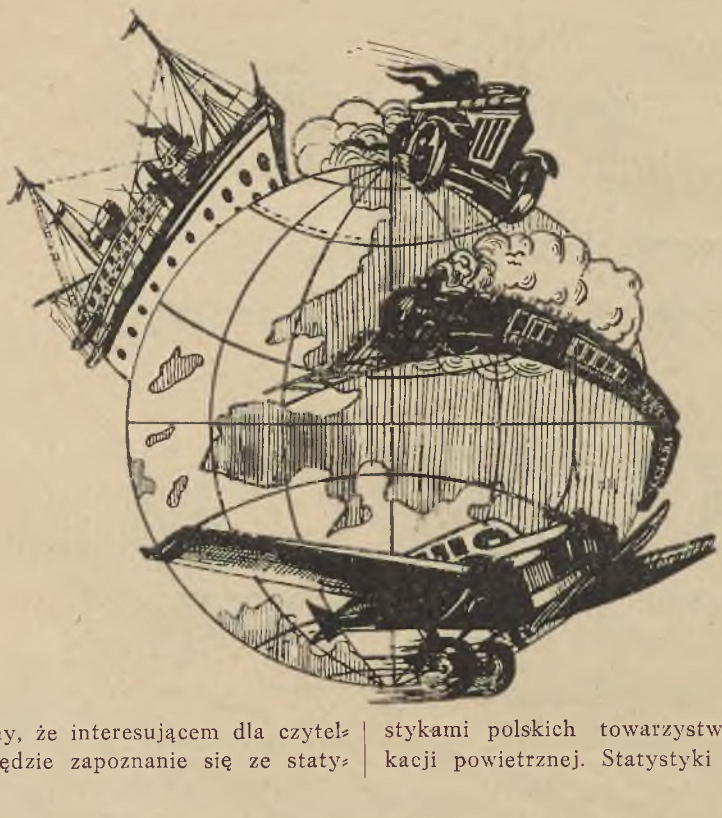
W ubiegłą niedzielę odbyła się uroczysta inauguracja stacji poznańskiej, trzeciej z kolei placówki w Polsce, dzięki której utrzymywać będziemy mogli stały wzajemny kontakt z Piastową kolebką i nieść rozumną propagandę na kresy nasze zachodnie, gdzie niedawno hasały tylko na falach eteru nikczemne słowa germańskiej propagandy.

Ogólne kierownictwo stacji w Poznaniu powierzone zostało red. Marynowskiemu, zaszczytnie znanemu z literackiej i dziennikarskiej działalności.



Radjostacja Poznańska z antenami

Czy podróże powietrzne są bezpieczne?



Sądzimy, że interesującem dla czytelników będzie zapoznanie się ze statystykami polskich towarzystw komunikacji powietrznej. Statystyki te wykazując, iż w czasie 5-letniego istnienia naszej żeglugi powietrznej nie zdarzył się **żaden nieszczęśliwy** wypadek, któryby pociągnął za sobą śmierć, czy bodaj nawet kalectwo pasażera. Samoloty pasażerskie polskich towarzystw zrobiły w tym czasie w powietrzu około 30.000 godzin przebywając wprost zawrotną przestrzeń około trzech i pół miljona kilometrów, tyle, ile wynosi 70 okrążeń dookoła kuli ziemskiej. Samoloty przewiozły w tymże czasie około 20.000 pasażerów i 300.000 kg. towarów.

Podobną statystyką, wykazującą pełne 100 proc. bezpieczeństwa, nie może się poszczycić żaden inny środek komunikacyjny.

Stąd wniosek, dla wielu zapewne brzmiący paradoksalnie, a jednak prawdziwy — iż samolot jest najbezpieczniejszym środkiem komunikacyjnym doby obecnej.

Plebiscyt „Famulusa"

Jakich kobiet nie lubią współcześni mężczyźni?
Jakich mężczyzn nie lubią współczesne kobiety?

TEN „WSPÓŁCZESNY"...

Który?

Czy ten zdemoralizowany zgniłek, pragnący zaspakajać jedynie swoje namiętności?

A może ci o zboczonym umyśle, co zatruwają organizm alkoholem, staczając się w coraz głębszą przepaść. Przecież podobni są raczej do czworonogów, okrytych skorupą z bagna, niż do mężczyzn.

Albo może ci wymokli panicze, upajający się dzikiemi skokami murzyńskiemi „charlestonów" czy innych „bluesów", noce spędzający w kabaretach i dancingach na uwodzeniu naiwnych. Czyż ci mają być ideałem?

Nie, nigdy!

To zaraza obecnych czasów i zguba dla kobiet słabych i lekkomyślnych. To bandytyzm moralny, sprowadzający na dno rozpusty i nędzy moralnej.

Pamiętajcie, panowie, od was zależy poprawa obyczajów. Gdy wy staniecie się innymi, wnikniecie w tajniki swej duszy, zrozumiecie swe własne, tak często nędzne błędy, świat wtedy będzie inny, i nam, kobietom, będzie bezpieczniej i znośniej wśród was.

W was tkwi przyczyna zaniku moralności i upadku obyczajów w dobie obecnej.

S. W-na
Bydgoszcz.

JAKIE SĄ DZIŚ MODNE

Kobieta była, jest i będzie energją, pobudzającą mężczyznę do zdobycia laurów. Mamy na to dowody.

Najznakomitszy nasz wieszcz Adam Mickiewicz, tracąc swą ukochaną Marylę, potężnieje na duchu, „wznosząc się nad martwym światem w rajską dziedzinę ułudy". Beethoven po stracie swej ukochanej, Teresy Brunswick, pisze X synfonję i staje się genjuszem przez kobietę. To samo z Chopinem, a nawet, jak twierdzą wszystkowiedzący, Benito Mussolini, głównie pod wpływem swej małżonki, pani Racheli, staje się gwiazdą i bożyszczem całej Italji.

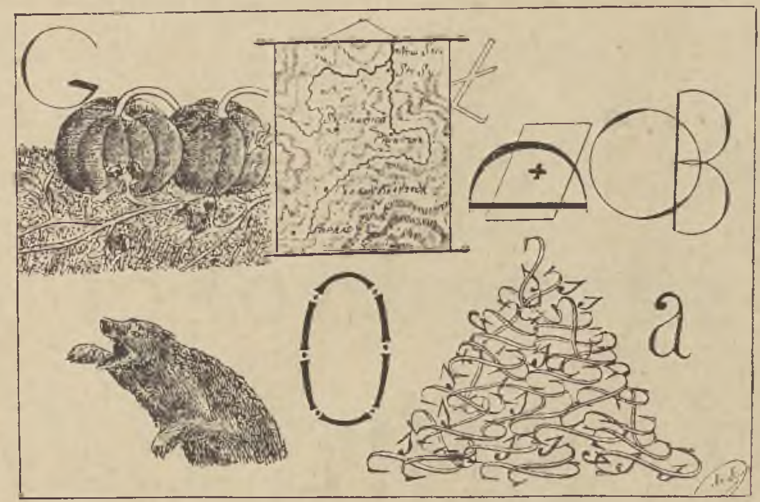
Jakaż kobieta ma dziś szanse powodzenia?

Kobieta, dbająca o swą piękność choćby za pomocą pudru Cottiego i szminek Leichnera, zawsze przypada do gustu mężczyźnie. Gadatliwość, przebiegłość i nonszalancja, trafiają w sedno upodobań męskich.

Zresztą, której kobiety nie lubimy? To często nie od nas zależy. Najwięcej jednak wśród cór Ewy obecnie pociągają nas te, które popierają przemysł kosmetyczny, udają chłopczyce, noszą pończoszki „al-fraska" ze strzałką i pantofelki na niskich obcasach. Za takiemi szalejemy.

Bolesław Krawczyk
Warszawa

REBUS

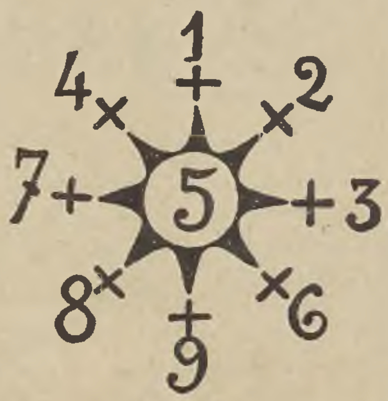


ROZLOSOWANIE NAGRÓD:

Nagrody książkowe przez losowanie otrzymali:

1) Jadwiga Gryziewiczowa w Milanówku, 2) J. Kuchciński w Suwałkach, 3) Kpt. Kamieński w Grudziądzu, 4) Kłopotowski w Drohiczynie, 5) Antoni Przybylski w Łodzi.

ROZWIĄZANIE FIGIELKA



CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3. —
Półrocznie	„ 6. —
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96

Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-tej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy **I. K. Librach** przyjmuje od 9-10.

Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona". Warszawa, Nowolipie 2.

5) By utulić łzy i skargi, Dyndała jedzie na Targi...



*Poznań... Targi... Któż nie ciekaw
widzieć gród, który od wieków
słynie w ziemi polskiej całej,
że w przemyśle doskonały —
więc Dyndała w dyrdy bieży
do stołecznej pramacierzy.*



*Wdzięcznie stanął u stoiska,
ponad którym napis błyska:
— Kit japoński, co skorupy
mocno skleja tak do kupy,
że, gdy szmatką dodać glansu,
porcelana jest z fajansu.*



*Mnóstwo się zebrało ludzi,
kit japoński podziw budzi,
coraz liczniej się gromadzą,
gwarzą, śmieją się i radzą,
aż Dyndale serce skacze:
— Teraz — myśli — grosz zobaczę...*



*Bierze talerz od Agaty,
co się potłukł jej przed laty,
i zręcznie w miejscu rozbitem
japońskim go skleja kitem
i pud wagi pod nim wiesza —
osłupiała ludzka rzesza...*



*Lecz Agata talerz chwyta,
nie jest bowiem w ciemię bita:
— Patrzajcie go, co za cudak,
myśli, że mu się tak uda...
I, gdy zmogła siły swoje,
talerz znowu pękł na dwoje.*



*Wrzask... rewetes... krzyki... piski.
— Oszust! Nicpoń! A masz zyski!
I obiła go gromada,
jak przybłędę i jak dziada...
Tyle wskórał ze swym kitem,
że został z okiem podbitem...*